BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN
czas. 2552/1979/17

UFO nad Piotrkowem?

Witold Wawrzonek str. 16

ŹRÓDŁA

CZTERY KOLUMNY MŁODOLITERACKIE

Co mówi Deyna?

str. 14

Kamena

LUBLIN 19 VIII 1979 NR 17 (685) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

Ryszarda Hanin. Rozmowę ze znakomitą artystką, przeprowadzoną przez Mirosława Dereckiego, drukujemy na str. 12—13. Poza tym w numerze i inne teksty związane z teatrem, których ze względu na aktualność (np. sprawozdanie z Zamojskiego Lata Teatralnego) nie możemy odłożyć na później.

CAF)

II KONGRES UCZONYCH POCHODZENIA POLSKIEGO

Myśl polska dla świata

Roman Tokarczyk

Z KOMUNIKATU PAP: *Ocenia się, że w uczelniach i instytutach badawczych świata pracuje ponad 1500 naukowców będących Polakami, czy też wywodzących się z naszego kraju w bliższym lub dalszym pokoleniu.*

Są wśród nich twórcy pojazdów księżycowych, wynalazcy szczepionek uwalniających ludzkość od chorób, które pochłaniały dawniej miliony ofiar, autorzy trwałych dzieł humanistyki, konstruktorzy nowoczesnych maszyn, laureaci najwyższych wyróżnień międzynarodowych, laureaci nagród Nobla.

Zaprezentowanie dorobku uczonych polonijnych, spopularyzowanie w świecie przy ich pomocy osiągnięć nauki polskiej w okresie 60 lat, rozwój rodzinnej współpracy między uczelniami i placówkami badawczymi w kraju a ośrodkami zagranicznymi... — oto cele II Kongresu Uczonych Pochodzenia Polskiego, który obradował od 15 do 21 lipca 1979 roku w Warszawie i Krakowie.

☆

Pierwsze spotkanie tego rodzaju odbyło się latem 1973 roku. Określane „kwintesencją polskości" spełniło niezwykle ważne zadania na drodze przełamywania nieuzasadnionych barier pomiędzy uczonymi polonijnymi i polskimi. Obecne, drugie, zgromadziło około 150 zagranicznych uczestników z 16 krajów i około 40 z Polski. Organizatorami tej wielkiej i nadzwyczaj udanej imprezy była Polska Akademia Nauk i Instytut Badań Polonijnych Uniwersytetu Jagiellońskiego pod protektoratem prof. dr. Henryka Jabłońskiego, przewodniczącego Rady Państwa.

Uczonych, którzy spotkali się na Kongresie, łączy nie tylko wspólnota zawodowa, ale i wspólnota korzeni etnicznych i kulturowych — polskość. Nicią przewodnią ich obrad było stare hasło wyryte przed wiekami na portalu Collegium Maius Krakowskiej Akademii: Plus ratio quam vis — zaktualizowane z okazji Kongresu w takiej postaci: Nauka polska i uczeni polskiego pochodzenia w służbie ludzkości. Pod tym hasłem wygłosili ponad 70 referatów, zabierali wielokrotnie głos w wielowątkowej i bogatej w treści dyskusji, uczestniczy-

Dokończenie na str. 11

Mecenat, ale z głową!

Ireneusz J. Kamiński

ESEJ Sandauera o powojennej poezji polskiej i jej rozlicznych uwarunkowaniach pozaliterackich wywołał na łamach „Polityki" polemikę, jakiej trudno szukać w kronice wydarzeń kulturalnych lat ostatnich. I sam ten fakt wypada uznać za wartość niedwuznaczną całej sprawy, rozpętanej przez autora „Bez taryfy ulgowej" w okresie wiosennym.

Osobiście wdzięczny jestem Sandauerowi za wskazanie na pewien problem z podwórka literackiego, ciemno rysujący się również w obszarze sztuki. Chodzi o wpływ mecenatu państwowego, a więc instytucjonalnego, na charakter i byt społeczny malarstwa, grafiki i innych dziedzin plastyki. Na ten temat mówiło się niegdyś często w środowisku, sam także napomykałem o sprawie kilkakrotnie, zbytnio jej przecież nie rozwijając w przekonaniu, że żadnego pożytku to nie da. Spróbujmy jednak powrócić do kwestii, ujmując ją w perspektywie pouczającej, bo historycznej.

Artyści zawsze zabiegali o możnych opiekunów. To banalne stwierdzenie kryje ostatecznie dość interesujące chwyty taktyczne, stosowane przez malarzy czy rzeźbiarzy w wiadomym celu. Na przykład w XIX stuleciu niektórzy z nich, wcale liczni, usilnie starali się o znajomości w kręgach ziemiańskich: zamożnych i bytujących w majątkach i majątkach rozrzuconych po całym kraju. Po towarzyskim ulokowaniu się w tym środowisku artysta pakował manatki i wyprawiał się w Polskę — zatrzymując się na dłuższe popasy w szlacheckich posiadłościach, gdzie otrzymywał wikt, dach nad głową i zlecenia na wykonanie portretów gospodarzy, widoków ich pól czarnoziemnych czy innych obrazów — premiowanych osobno. Instytucja artystycznych pieczeniarzy rozwinęła się wówczas do tego stopnia, że nawet poważna prasa pisała o zjawisku z niepokojem i przekąsem, a więc błędnie. Ostatecznie bowiem związek ziemiańsko-artystyczny miał charakter personalny i dobrowolny: konkretny człowiek wykonywał pracę dla drugiego i równie określonego człowieka, obie strony akceptowały partnerskie możliwości i oczekiwania. A jeśli coś w tym układzie zaczynało pękać, to bywało tak, jak z młodym Józefem Pankiewiczem, który uzyskawszy hrabiowskie stypendium na pobyt w Paryżu, namalował tam płótno drażniące smak mecenasa i w rezultacie musiał powrócić do kraju.

Później, jak wiadomo, ziemiaństwo podupadło finansowo i do opieki nad sztuką zabrała się burżuazja: bankierzy, przemysłowcy, handlowcy. W stosunku do rosnącej liczby artystów była to jednak grupa niewielka i niedługo przed wybuchem drugiej wojny światowej plastycy zaczęli głośno i często domagać się szerokiego mecenatu państwa nad sztuką, zwiększenia zakupów prac z wystaw, pieniędzy na wyjazdy zagraniczne, dotacji na urządzanie pracowni. Przy końcu lat trzydziestych środowisko opracowało nawet specjalny memoriał do władz, opublikowany w jednym z numerów krakowskiego „Głosu Plastyków", opanowanego przez kolorystów, którzy przecież mieli stosunkowo duży zbyt na swoje dzieła, niosące w sa-

Dokończenie na str. 4—5

Zbigniew Waldemar Okoń

* * *

Matce

wyrosłem
na ziemi trosk
na ojcowiźnie marzeń i nadziei

przesiąkałem życiem
jak ziemia deszczem

(w krajobrazie mego dzieciństwa
było tyle burz i pożarów)

budziłem się
w dłoniach matki
widziałem
niebo jej twarzy
i łzy gwiazd
pachnące łąką i polem
jak życie dniem

(krzyczały chorągwie rąk)

(pękała ziemia twarzy)

byłem
jak las
uciekający
drzewnym tabunem
przed pejzażem wojny

Austriackie spotkania (III)

W Wiedniu o Polsce

Marek Adam Jaworski

1.

Wiesława Nettel, która w klubie „Strzechy" (vide: „Kamena" z 22 lipca br.) zapytała mnie, czy nie chcę przysłuchać się próbie imprezy przygotowywanej w związku ze 130 rocznicą śmierci Juliusza Słowackiego, pochodzi z Lublina. Wspominałem już o niej półtora roku temu na tych łamach, kiedy zdawałem sprawozdanie z Dni Lublina w Wiedniu. Przypomnę teraz, że hitlerowcy wywieźli ją w czasie wojny do wchodzącej wówczas w skład Reichu Austrii. Początkowo ciężko pracowała w fabryce, później, dzięki dobrej znajomości języka niemieckiego (w liceach byli wówczas germaniści!), została tłumaczką. Jak tylko mogła pomagała swoim polskim koleżankom, znajdującym się w trudniejszej sytuacji. Po wyzwoleniu Wiednia pozostała już na tym terenie ze względów osobistych — wyszła za mąż za Austriaka, członka Komunistycznej Partii Austrii. Zapewne pod jego wpływem również wstąpiła do partii. Dzięki niej mam teraz możność odwiedzenia redakcji dziennika KP Austrii — „Volksstimme" i spotkania się z tow. Hansem Volkerem, członkiem KC, odpowiedzialnym za prasę partyjną.

Rozmawiamy w jego skromnie, chciałoby się rzec po spartańsku, urządzonym gabinecie. Dowiaduję się, że redakcja zatrudnia zaledwie 20 dziennikarzy. Przeważają ludzie młodzi. Gazeta ukazuje się codziennie poza poniedziałkiem. Ma 8—12 stron druku, a wydanie sobotnie 14—16 stron formatu nieco większego od „Kameny". Nakład waha się w liczbie 30—40 tysięcy egzemplarzy, z czego połowa rozchodzi się w prenumeracie. Własna poligrafia (drukuje się w niej również książki) ma sprzęt maszynowy pochodzący z NRD.

Wiesławę Nettel wszyscy tutaj znają. Nic dziwnego — w partii jest ponad trzydzieści lat. Kiedy w ub. roku zmarł jej mąż, pismo zamieściło ciepły nekrolog-wspomnienie.

2.

Polska obecna jest w Wiedniu. Obecna chociażby poprzez Polski Instytut, którym przez kilka lat kieruje Jerzy Passendorfer, znany reżyser. Niestety, trafiam na niezbyt odpowiedni okres — Passendorfer odlatuje wieczorem do Warszawy, ma niewiele czasu. Zresztą wkrótce wraca już na stałe do Polski, otrzymał propozycję pracy w telewizji.

— Udało nam się — mówi — skupić wokół Instytutu około półtora tysiąca ludzi coś znaczących w Austrii, reprezentujących gospodarkę, naukę, kulturę i sztukę. Imprezy, które organizujemy, a są to — wystawy, koncerty, pokazy filmowe, spotkania środowiskowe cieszą się dużą popularnością; niekiedy brakuje nawet krzeseł, a sala nasza nie jest znów tak mała.

Oglądam programy, będące jednocześnie zaproszeniami na imprezy. Stanisław Romaniak, członek grupy „Konary" w Zakopanem, prezentował swe rzeźby wykonane w drzewie. Alina Janowska i Bohdan Łazuka wystąpili w wieczorze kabaretowym. Wieczory filmowe — m. in. „Spirala", „Śmierć prezydenta". Wystawa plakatów. Wspomnienie o dr. Januszu Korczaku. Chopin-Liszt, koncert w wykonaniu Aleksandra Wronickiego z Wrocławia... itd., itd. Nawet kilkanaście imprez w ciągu miesiąca. Ile pracy organizacyjnej!

— A przecież nie ograniczamy się — dodaje Passendorfer — tylko do działalności w gmachu Instytutu. 50-minutowy film pt. „Poznajemy Polskę" krąży w dwunastu kopiach po austriackich szkołach. W konkursie wiedzy o Polsce wzięło udział aż sześć tysięcy dzieci. Główną nagrodą był kilkudniowy pobyt w naszym kraju. Nagrodę ufundował Orbis i Lot. Osobna karta to dni poszczególnych miast polskich w Austrii. Dni Rzeszowa w Klagenfurcie. Dni Katowic w Linzu. Dni Krakowa, Lublina i Poznania w Wiedniu. W przygotowaniu — Dni Wrocławia.

— Oderwał się pan od filmu... — przerywam.

— To prawda, ale kilkuletni pobyt w Wiedniu chyba dobrze wpłynął na moje samopoczucie. Nie bez znaczenia jest też fakt, że moje dzieci, ośmioletnia Agnieszka i czternastoletni Tomek, znakomicie opanowali język niemiecki. Tomek założył nawet w szkole kółko teatralne, może pójdzie w moje ślady. A ja mam projekty nakręcenia pewnych filmów po powrocie do kraju. Zainteresowałem się na przykład postacią króla Jana III Sobieskiego. Zbliża się rocznica Odsieczy Wiedeńskiej. Myślimy o jej godnym uczczeniu.

3.

Dr Theodor Kanitzer jest prezydentem Towarzystwa Austriacko-Polskiego, które przed trzema laty obchodziło swoje trzydziestolecie. Poznaliśmy się, kiedy Lublin organizował swe „Dni" w Wiedniu.

Teraz umówiłem się z nim o czternastej. Stanęły właśnie tramwaje (i tam zdarzają się awarie). Aby przybyć na czas, musiałem skorzystać z taksówki. Złamanie chorągiewki licznika — 19 szylingów, czyli półtora dolara. A to było jeszcze przed podwyżką cen benzyny...

W gabinecie dr. Kanitzera liczne pamiątki z Polski. On sam bywa częstym gościem w naszym kraju.

Mój rozmówca znakomicie włada językiem polskim, niekiedy tylko zastanawia się przez chwilę, aby lepiej swą myśl wyrazić.

— Współczesne życie międzypaństwowe nie polega jedynie na rozwijaniu działalności dyplomatycznej i gospodarczo-politycznej. W dawnych czasach stosunki dwóch państw względem siebie były regulowane w ramach polityki zagranicznej prowadzonej przez ministerstwa spraw zagranicznych i przez przedstawicieli dyplomatycznych. Inne były wówczas chociażby środki łączności, nie było pociągów, samochodów, samolotów, telefonów, dalekopisów. Dziś z Wiednia do Warszawy można przelecieć w ciągu 70 minut. Uległa intensyfikacji wzajemna wymiana handlowa. Zadaniem Towarzystwa, którym kieruję, jest uzupełnianie i umacnianie stosunków między naszymi państwami i narodami poprzez działalność natury kulturalnej, społecznej i gospodarczej. Ta ostatnia wysuwa się teraz na plan pierwszy. Dlatego też utworzyliśmy w 1971 roku przy Towarzystwie tzw. Forum Gospodarcze, które bynajmniej nie dubluje zadań zastrzeżonych dla władz oficjalnych, lecz je uzupełnia.

Tak, dr Kanitzer szczegółowo mówił na ten temat podczas polsko-austriackiego sympozjum naukowego, zorganizowanego w Lublinie w czerwcu 1976 r. z okazji 30-lecia powstania Towarzystwa. Cytuję:

Jeśli przy jednym stole zasiadają Austriacy i Polacy, to oprócz narodowych potrzeb współpracy szczególną rolę odgrywają uczucia osobiste i narodowe. W historii naszych narodów istniały różnorodne stosunki. Liczne powiązania między panującymi rodami książęcymi prowadzące często do umów i małżeństw, oswobodzenie Wiednia w 1683 roku pod komendą króla polskiego Jana III Sobieskiego, a przede wszystkim połączenie, jakkolwiek niedobrowolne, części Polski ze starą monarchią austro-węgierską ze wszystkimi płynącymi stąd następstwami — to niektóre tylko znamienne ich przykłady. Istniało także wiele istotnych powiązań kulturalnych. Wybitni przedstawiciele polskiego życia artystycznego, jak Fryderyk Chopin, pisarz i malarz Stanisław Wyspiański, poeta Tadeusz Rittner, by wymienić tylko niektórych, chętnie przyjeżdżali do Austrii. Wzajemne wpływy w różnych dziedzinach życia kulturalnego i umysłowego działały często stymulująco w obu krajach. Do tego dochodzi okoliczność, że Austriacy i Polacy rozumieją się dobrze ze względu na zbliżoną mentalność.

[...] Wspaniała odbudowa państwa polskiego po piekle II wojny światowej i usiłowaniach faszyzmu niemieckiego zmierzających do wytępienia narodu polskiego i zrównania kraju z ziemią, świadczy jeszcze raz o wielkiej sile narodu.

[...] Utworzeniu Towarzystwa Austriacko-Polskiego patronowali wybitni Austriacy, ludzie, którzy często wraz z polskimi towarzyszami niedoli byli męczeni w hitlerowskich więzieniach i obozach koncentracyjnych, jak np. kanclerz [...] inż. Leopold Figl, minister oświaty, dr Felix Murdes, ówczesny burmistrz Wiednia, a późniejszy prezydent republiki, dr Theodor Körner, ówczesny radca miejski Wiednia do spraw kultury, dr Victor Matejka, który do dziś działa w zarządzie Towarzystwa i wielu innych. Pierwszym zasłużonym prezydentem Towarzystwa był profesor Uniwersytetu Wiedeńskiego, dr Karl Wolf, po którym w 1953 r. objął tę funkcję pochodzący z Grazu znany malarz i grafik prof. dr Axl Leskoschek...

Dr Theodor Kanitzer został prezydentem Towarzystwa w 1971 r., ale już od 1952 r. był aktywnym działaczem Towarzystwa, pracował najpierw jako członek zarządu, a potem jako wiceprezydent.

— Mamy sporo osiągnięć w różnych dziedzinach. Wykłady, projekcje filmów, koncerty, przedstawienia teatralne, wystawy, wycieczki, imprezy towarzyskie, konferencje gospodarcze... Staraliśmy się oddziaływać na szerokie warstwy społeczeństwa, zapraszając wybitnych polskich twórców i artystów. Serdeczne więzy łączą nas z samym Lublinem, gdzie powstało i rozwija się coraz wspanialej Polonijne Centrum Kulturalno-Oświatowe UMCS. Doc. dr Władysław Kucharski często gości w Wiedniu, położył on duże zasługi i dla naszego Towarzystwa. Z gorącym przyjęciem spotkały się występy chóru Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, który koncertował w Wiedniu i Salzburgu. Sądzę, że udały się również u nas Dni Lublina, będące wspaniałą prezentacją miasta i województwa, osiągnięć kulturalnych i gospodarczych Lubelszczyzny.

Lepiej poznajemy się wzajemnie. Poprzez to wzajemne poznawanie bardziej się szanujemy i lubimy. Nic tak nie łączy jak bezpośrednie kontakty. W ten sposób zawiązują się też osobiste przyjaźnie.

4.

Centrum Prasowe w wiedeńskim Ratuszu. Otrzymuję tu cały stos barwnych folderów. Wiedeńczycy są bardzo dumni ze swego metra, które ciągle się rozbudowuje. Budowa metra doraźnie sprawia wiele kłopotów, całe ulice są rozkopane, ale dzięki niemu komunikacja ulega stałej poprawie.

Nowym symbolem Wiednia stało się Międzynarodowe Centrum przy Parku Naddunajskim. Centrum — to prawdziwy gigant, ciekawy pod względem architektonicznym; wieże Centrum są zbudowane w kształcie litery Y. Centrum to siedziba Międzynarodowej Organizacji Energii Atomowej oraz UNIDO — Organizacji Rozwoju Przemysłowego. Wiedeń wnosi swój wkład w dzieło współpracy międzynarodowej.

Kiedy przyjdzie wolna sobota lub niedziela, wiedeńczycy gromadnie ciągną do swych parków. Wystarczy przejechać kilkanaście kilometrów, by znaleźć się w prawdziwym lesie. Taki na przykład park kuracyjny i wypoczynkowy Laaer Berg liczy milion(!) metrów kwadratowych powierzchni. Zielone tereny objęte są ochroną, służą wyłącznie rekreacji.

W upalne dni tłumy śpieszą nad Nowy Dunaj albo nad jezioro Silbersee. Wszystko efektownie zagospodarowane, ze smakiem. W kawiarniach, winiarniach, restauracjach serwują zimne napoje. Byle tylko szylingów nie brakowało!

Sądzę, że pod względem organizacji wypoczynku wiele moglibyśmy się od Wiednia nauczyć.

5.

Jeszcze „Strzecha". Wiesława Nettel pokazuje mi biuletyn „Głos Polonii", wydawany na powielaczu. Cytuję z rubryki komunikaty:

- Lokal „Strzechy" jest czynny w piątki, soboty i niedziele od godz. 17 do 22 z wyjątkiem świąt na te dni przypadających.
- Składka członkowska wynosi 180 szylingów rocznie. Emeryci mogą korzystać z 50 proc. zniżki.
- Biblioteka „Strzechy" jest czynna w piątki od godz. 17 do 20. Wypożyczenie książki za kaucją zwrotną 100 szylingów.
- Po długim czasie nieczynności wznawia swoją działalność sekcja tenisa stołowego.
- Do dyspozycji naszych członków i sympatyków są karty i szachy. Zachęcamy naszych bywalców do zawiązywania kółek brydżystów i szachistów...

Pograłoby się... Ale być w Wiedniu i grać w brydża? Może by się zagrało, ale w pokera na szylingi. Z czym tu jednak do gościa? A właściwie z czym tu gość ma zasiadać do gry?

SZPALTA O SPORCIE

Lekkoatletyczny Puchar Europy mamy już za sobą. W konkurencjach mężczyzn nasza drużyna wywalczyła czwarte miejsce, a w kobiecych siódme. Polskim lekkoatletom udało się wyprzedzić groźnych Brytyjczyków i Włochów, a lekkoatleci NRD, ZSRR toczyli walkę właściwie tylko między sobą, udawało się do nich zbliżyć tylko zawodnikom RFN. Czwarte miejsce w Europie bez udziału dwu naszych kandydatów do czołowych miejsc — Malinowskiego i Wszoły może zadowolić kibiców. Świetne biegi Woronina, zwycięstwo sztafety 4×100 poparte rekordem Polski oraz ponad ośmiometrowy skok Cybulskiego to nieliczne wyniki, które przynoszą satysfakcję. Wyrównanie rekordu Polski przez Urszulę Kielan (co dało jej zresztą trzecie miejsce) oraz drugie miejsce Grażyny Rabsztyn, która tym razem minimalnie przegrała z Anisimową — to znów nieliczne sukcesy naszych pań, które musiały się zadowolić siódmym miejscem.

Chlubny wyjątek to nasze dwie młode dziewczyny, Kielan i Krawczuk, które wreszcie od rzymskiej Olimpiady po raz pierwszy zaczęły się liczyć w skoku wzwyż pań. Jeszcze jest Malinowski i Wszoła i nieco słabsi czterystumetrowcy. Ale na tym koniec. Nasza świetna trójka skoczków o tyczce stanęła w miejscu. 5,50 było rok — dwa lata temu wynikiem wystarczającym do zwycięstwa w każdym spotkaniu, a w Turynie wystarczyło na zajęcie trzeciego miejsca. Irena Szewińska po 15 latach zwycięstw została już wyprzedzona przez młodsze zawodniczki Europy, ale niestety wśród młodych polskich sprinterek jeszcze nie ma następczyni. Trzeba szukać ich wśród uczestniczek tegorocznej Spartakiady Młodzieży i przygotowywać jeśli nie na Olimpiadę moskiewską to z myślą o Los Angeles, w którego kronikach pozostały sukcesy Kusocińskiego i Walasiewiczówny. A może warto podpatrzeć jak pracują działacze i trenerzy w NRD, państwie o połowę mniejszym od Polski, a zajmującym pierwsze miejsce w lekkoatletyce i odnoszącenie mniejsze sukcesy w innych dyscyplinach sportu.

Jeden z komentatorów sportowych słusznie zauważył że Puchar Europy dla krajów z dużym zapieczem kadrowym stwarza trudności z wyborem jedynego reprezentanta, u nas natomiast, gdy zabrakło Malinowskiego czy Wszoły, ci drudzy, którzy przyszli na ich miejsce jeszcze są dość daleko od czołówki europejskiej. A są też dyscypliny, gdzie i tego jednego nie ma. Szczególnie w biegach średnich i długich mężczyzn i kobiet, a i w rzutach odstała cała nasza czołówka. Ile lat jeszcze najlepszym miotaczem w Polsce będzie Komar?

Ale chyba dość narzekania. Pocieszać nas może fakt, że poza NRD i ZSRR ...mierzymy się jak równi z równymi z RFN, z Wielką Brytanią czy Włochami wśród mężczyzn, że w reprezentancji Europy, która walczyć będzie o Puchar Świata z ZSRR, NRD, USA i reprezentacjami innych kontynentów, znalazło się jedenaścioro Polaków. W czterech męskich konkurencjach indywidualnych i w sztafecie 4×100 Europę będą reprezentowali Polacy, a w sztafecie 4×400 obok innych narodowości znalazł się też Polak. W biegu na 100 m ppł pań pobiegnie Grażyna Rabsztyn, a Irena Szewińska jeszcze jest najlepsza ze wszystkich Europejek (poza NRD i ZSRR) w biegu na 400 m. W dniach 24—26 sierpnia będziemy trzymali kciuki za Europę, reprezentowaną też przez Polki i Polaków, której może uda się przegrodzić dwie europejskie potęgi lekkoatletyczne, bo obu jednak chyba nie wyprzedzi. Ale znów jednoosobowe reprezentacje, możliwości dużych strat punktów w jednej konkurencji pozwalają snuć prognozy, że emocji kibicom nie zabraknie, a na stadionie w Montrealu, który pamiętamy z ostatnich Igrzysk Olimpijskich, silna konkurencja doprowadzi do ustanowienia nowych wspaniałych rekordów. Oby były one też udziałem naszych lekkoatletów i poprawiły nasze nastroje w roku przedolimpijskim.

tgw

ZAMOJSKIE LATO TEATRALNE

PUK NA BATUCIE

Andrzej Kędziora

NA rok przyszło Zamościowi zarzucić sny o karierze Avinionu czy Dubrownika. Talia tudzież siostrzana Melpomena z powodów oczywistych wyniosła się czasowo ze Starego Miasta. Gotowe spektakle można było bez większych kłopotów wystawić w amfiteatrze, co też przy współudziale sali WDK uczyniono. Odarte z największego atutu Zamojskie Lato Teatralne spadłoby do rangi szeregowego przeglądu, na szczęście był przecież niezawodny Machulski, „Ochota" i Szekspir.

Dawno temu wszelkim letnim rozrywkom służył Park Miejski imienia Hetmana Zamoyskiego. „Wieczorem piękny park miejski zapłonął tysiącem różnobarwnych świateł i roztworzył swe bramy na ścieżej (...) Szereg barwnych lampionów, cudne ognie sztuczne, gra orkiestry, śpiew „Lutni", popisy harcerskie, występ mandolinistów na łodzi oświetlonej — wszystko to składało się na widok tak czarowny, że te tysiące zebranych widzów z całego miasta i okolicy z zapartym tchem patrzyło na to widowisko..." — pisała miejscowa gazeta o jednej z wiosennych nocy.

Jan Machulski postanowił wykorzystać do kolejnej premiery właśnie park — malowniczo położony wśród reliktów dawnej twierdzy — i właśnie na zainscenizowanie nocy letniej, „Snu nocy letniej" dokładniej... Znajdujący się w południowej części ziemny bastion, bodaj rówieśnik tej uroczej fantazji, tworzy wewnątrz trójkątny plac. Dwa boki z galeriami w połowie zastępować mogą widownię, trzeci zaś — stroma ścianą nadszańca z murowanym przejściem pośrodku — spełnić po części rolę karkołomnej, bo stromej sceny. Naturalnej dekoracji służą pojedyncze krzewy. Górą otaczają całość gęsto rosnące kilkudziesięcioletnie lipy. I to właśnie miejsce postanowił animować Machulski.

Wraz z nim zjechali tradycyjnie, po raz trzeci lub czwarty: Bożena Stryjek, Tadeusz Bogucki, Janusz Leśniewski, Krzysztof Kiersznowski, Krzysztof Kaczmarek, aktorzy innych teatrów, studenci szkół teatralnych, młodzież z kół miłośników teatru. Przybyli prawie niezauważenie, gdyż i miejsce prób i nie najlepsza pogoda nie sprzyjały zwykłemu dotąd podglądaniu kuchni teatralnej. Tym większą niespodzianką było przedstawienie.

Wieczór był wyjątkowo ciepły. Na długo przed zmierzchem kilkadziesiąt ławek i zielone zbocza obsiadło ciasno około dwu tysięcy osób, przywiedzionych licznymi kolorowymi proporcami, zawiadamiającymi o nowej premierze. Wzrok przykuwała ustawiona wysoko pośród drzew biała jońska kolumnada. Pełne prostoty, smukłe kształty jakby najpierw zaskoczyły publiczność. Szybko jednak w zapadającym zmierzchu nabrały sugestywności, znakomicie zharmonizowały się z otoczeniem. Już o 21.30 nikt z widzów nie miał wątpliwości, iż znajduje się w sercu antycznej Grecji. I wówczas to ze szczytu drzewa zjechał na linie Puk. W rytm żartobliwie pogwizdującej melodii przedstawił się, rozhasał po zboczu, odbił się parokroć na batucie zmyślnie ukrytym w zieleni, wzniecił obłoki dymu, czy pary, z których wyłoniły się elfy w gimnastycznych układach; w rozjaśnionych tylko białymi oparami ciemnościach, ktoś rozpoznał młodych sportowców „Hetmana". Na moment wzgórze przecięły stroboskopowe błyskawice i akrobatyczny prolog nagle zakończył się, a drzewa i zbocze zapłonęły najfantastyczniejszymi barwami. Ten i ów, używając wytartego skojarzenia, przetarł oczy, otworzył usta ze zdziwienia. Jaskrawą zieleń przełamała gama delikatnych odcieni brązu i żółci. Gdyby nie intensywny, miodowy zapach przenikający powietrze, można by sędziwe lipy wziąć za święte dęby heleńskie. Jednocześnie nierealna fiołkowa poświata zabarwiła kolumny. Tam ukazała się po chwili wyzywająca czerwień zwiewnej sukni Tytanii i owadzie szaty Oberona. Dołem, przed parą królewską, w blasku pochodni grupa w greckich strojach zawiązywała już przed publicznością miłosną intrygę. Niebawem obydwa światy: baśniowy i ten realny wikłały się przewrotnie.

Interludia wypełniła kompania mistrza Pigwy, ale jak wypełniła! Zresztą mistrz był niczym przy Spodku-Kiersznowskim. Już rok temu jako Petrucchio podbił publiczność. Teraz w arcyzabawnej — czemu sprzyjało specjalnie uwspółcześnione tłumaczenie Gałczyńskiego — interpretacji samochwały przechodził siebie. Nie dość jeszcze niespodzianek. Z nieprzyjemnie wilgotnawego przejścia proste zabiegi (kolorowe filtry, liście) wydobyły niezwykłą grotę. Dochodziła północ. Pracowity Puk na powrót zaprowadził porządek wśród bohaterów najkrótszej z nocy. Znikały elfy, rusałki, kochankowie godzili się, mistrz Pigwa zainkasował nawet honorarium, usatysfakcjonowani byli: Tytania i Oberon, hm, zwłaszcza Tytania... Brawa i tradycyjne „re-żyser"! „Machul" (podsłuchane) szczególnie mocno ściskał Krzysztofa Kiersznowskiego.

Owacji w najmniejszym stopniu nie powodowała kurtuazja. Tej doszukać już by się prędzej w poprzednich premierach, gdy przedstawienia w toku wielu prób wszyscy dokładnie poznawali. Ile osób natomiast znało dotąd „Sen nocy letniej"? Następnego dnia słyszało się naokoło jak ludzie, których trudno podejrzewać o miłość do teatru, a już do Szekspira w szczególności, rozprawiali o przedstawieniu. Obok walorów czysto komediowych, decydującą rolę odegrała widowiskowość inscenizacji. Złożyła się przede wszystkim na nią iluminacja i graniczące z ekwilibrystyką gra aktorów na dziesięciometrowym zboczu. Szczęśliwie rozwiązano też stronę akustyczną. Jak nigdy dotąd, niemal wyeliminowano tak rażące dysproporcje siły głosu. Albo oprawa muzyczna: w efektownym elektronicznym collage'u znalazły się nawet takty z „obrazków" Musorgskiego.

Nie można mieć wątpliwości, iż zamojską kronikę kulturalną wzbogaciło niezapomniane wydarzenie.

Szekspir patron[illegible] w połowie z 18 przedstawień [illegible]ych dotąd w ramach ZLT. „[illegible]mienie złośnicy", kończące ub[illegible]głoroczny przegląd, inaugurowało zarazem tegoroczne Lato. W amfiteatrze zasiadło blisko trzy tysiące widzów. Część z nich zniechęciła pierwsza połowa, rozwlekła w porównaniu z propozycją „Ochoty". Nie bardzo też sprzyjał kontaktowi znaczny dystans między sceną i widownią. Także nie każdemu odpowiadała konwencja drugiej części, kiedy to właściwe „poskramianie" poprzedzono usypaniem piasku, nakrytego niby areną okrągłym dywanem. To, co pokazali tarnowianie, było cyrkiem, paradą, pantomimą, operą, kabaretem, parodią etc. etc.

I tym razem nie ułatwił publiczności życia teatr rzeszowski. Rzeźbiące zimno sprawiło, że Strindbergowskiego „Eryka XIV" oklaskiwało ledwie 300 osób. Wielką kreacją znowu błysnął Mirosław Gawlicki w roli słynnego faworyta królewskiego. Skupieniu sprzyjała ascetyczna dekoracja.

Trzy następne spektakle były dziełem teatrów debiutujących w Zamościu. Teatr kaliski przedstawił „Don Juana", Historia o cynicznym libertynie, okraszona błyskotliwymi dialogami i pantomimiczno-pirotechnicznym finałem spodobała się publiczności, opuszczającej amfiteatr w takt Bizetowskiego „Marsza toreadora".

Nad „Kramem z piosenkami" Schillera ulitowała się sama aura, zmuszając do przeniesienia spektaklu na scenę WDK. Inaczej przepiękne stroje (160 sztuk!) narażone byłyby na surowe — oględnie mówiąc — zaplecze amfiteatru. W zamian za piękny spektakl kielczanie dostali gorące brawa. Czy mógł być zły, skoro muzyczne popisy odtwarzano z taśmy?! (Gdy przy opuszczonej kurtynie kończyła się parominutowa uwertura, ktoś zażartował, że może to tylko play-back przyjechał.) Plenerowa impreza pod dachem! A więc zarysowuje się już chyba koncepcja może jeszcze nie przyszłego, ale na pewno przyszłych lat teatralnych. Oczywiście winien dominować plener, tylko bez upychania wszystkiego w miejscowej architekturze, choć ta powinna decydować o postulowanej wielokrotnie oryginalności Zamojskiego Lata. Nie powinno się jednak unikać, jeśli trzeba, zamkniętych pomieszczeń. W ten sposób pokazywać wszystko nie wyłączając monodramu, teatru studenckiego, wieczoru poezji, spotkania z aktorem, wystawy...

Znowu WDK: „Pierwszy dzień wolności" Kruczkowskiego. Czerwcowa premiera młodego teatru z Radomia ma już dobrą recenzję w „Kulturze", więc zajmijmy się publicznością. Wszystkie przedstawienia obejrzało 16 tysięcy osób. Niestety, zamiast o wiernej, wspaniałej publiczności, trzeba napisać o tych promilach, których zachowanie potrafiło niejednokrotnie zepsuć krew paru tysiącom widzów. Idiotyczne uwagi, hałaśliwe śmiechy w najmniej odpowiednich momentach, zwłaszcza gdy te obracały się wokół kwestii damsko-męskich. Mieszane grupki prowadzące życie towarzyskie mimo spektaklu, w imię delikatności (może obojętności) nie doczekały się interwencji w całym majestacie i chyba szkoda. Chyba także szkoda pisać o tym wiedząc, że do najbardziej zainteresowanych tekst ten ku powstydzeniu nie dotrze.

Mimo woli przypomina się Wańkowicz. Stary mistrz nie bez kozery zwykł pobierać za wstęp na spotkanie autorskie drobną opłatę. Upraszczając bardzo: szacunek do własnego pieniądza ułomna natura ludzka zawsze będzie miała przed pogardliwym stosunkiem do darmochy, niechby skądinąd najwartościowszej.

Następnego dnia w WDK grano „Romea i Julię". Na scenie gościł pierwszy teatr zagraniczny, ale tylko amatorski. Lepiej by było, aby obydwa ewenementy nie stały się precedensem krojącym imprezę na kształt Teatru Narodów i ożenionego z przeglądem amatorskiego ruchu artystycznego. Dobrze, że to byli Czesi, nie Węgrzy i „Romeo i Julia", a nie „Troilus i Kresyda" dla przykładu. W pomysłowo uniwersalnej scenografii młodzi aktorzy zaprezentowali wiele, ale były też długie statyczne tyrady niezrozumiałe dla widowni, byli tytułowani bohaterowie tak dobrani fizycznie i grający z takim zasobem witalności, iż tragiczny finał nie wyglądał zbyt przekonująco. Na dodatek każde „umieranie" niosło cały arsenał naturalistycznych efektów, jak choćby epileptyczne drgawki. Niezamierzone rezultaty dawały także osobliwości lingwistyczne „Kapuletowa!".

Jan Machulski

Fot. Marek Jawor

Tego dnia Szekspir królował niepodzielnie. Po sympatycznej, mimo wszystko, młodzieży z Gottwaldova, w pół godziny później rozpoczynał próbę Machulski. Tuż przed północą z parku można było jeszcze przejść do amfiteatru na znajdującego się niestety już w trakcie sceny z grabarzami „Hamleta". Ekipa „Osterwy" korygowała ruch, światło, doskonale się bawiąc mimo późnej pory i bardzo niskiej temperatury, że aż trzeba było reżyserowi napominać niektórych. Błaznował Paczyński i Krzyszczak, szarżował w roli Ozryka Wysocki. Dopasowywanie spektaklu traktował poważnie chyba tylko odtwórca Hamleta — Piotr Suchora. Może dlatego, że był to bodaj ostatni jego występ z lubelskim teatrem. Ratuszowy zegar wybijał akurat pół do pierwszej.

Przedstawienie lubelskie było chyba najdojrzalszym spektaklem całego Lata. Stawiając na naturalność zrezygnowano z nagłośnienia, czym odzyskano urodę plastyczną scenografii. Zmuszało to aktorów do bardziej forsownego podawania kwestii. Nie każdy jednak dysponował pięknym nośnym głosem Ryszarda Barycza i często słowa niknęły w powietrzu.

Później jeszcze odbyła się trwająca niemal do rana próba generalna, podczas której „Sen nocy letniej" — ostatni, ósmy i najwspanialszy spektakl Zamojskiego Lata Teatralnego zyskiwał ostateczne oblicze.

PS. W bardzo estetycznie wydanym okolicznościowym folderku o „Romeo i Julii" Małej Sceny z Gottwaldova przeczytać można: „Po raz pierwszy widownia zamojska będzie miała możność obejrzenia sztuki w oryginalnej wersji językowej" (!) Szekspir piszący po czesku jest pomysłem surrealistycznym, prawie jak ów „gwóźdź wbity w dno żelazka".

Kamena str. 3

Czego chce ten Głodek?

Maciej Podgórski

ZDAŁ maturę. Odbył zasadniczą służbę wojskową. Przyjęto go na Politechnikę Wrocławską. Boksował w Gwardii Wrocław pod okiem trenera Szczepana. Prasa lokalna pisała wtedy o Głodku — „Nowy talent wagi ciężkiej Wrocławia". Ożenił się i został ojcem. Wziął stypendium fundowane Zakładów Azotowych w Puławach i po studiach, w 1967 roku, zaczął tutaj pracować jako magister inżynier energetyk mechanik. Azoty skierowały go wkrótce na roczne studium podyplomowe energetyki przemysłowej przy Politechnice Warszawskiej, które ukończył. Miał już drugiego syna, żona pracowała w szkolnictwie. Nie czekali długo na mieszkanie w Puławach.

Tak wykształcony i ustawiony życiowo, blisko trzydziestoletni Głodek posiadał pewną cechę. Że mianowicie, co zobaczył, zaraz musiał racjonalizować. To jest brał na rozum i starał się ulepszyć. Nawet zwyczajne centralne ogrzewanie w pakowni mocznika. Nie było prawie roku, żeby nie wystąpił w Azotach z jakimś pomysłem wynalazczym, a czasem nawet z dwoma.

Głodek nie proponował Azotom cukierków wypełnionych tlenem, służących do oddychania w zadymionym mieście, tylko same poważne usprawnienia produkcji. Jednakowoż powodzenie miały jego propozycje od początku raczej mizerne, drogę długą i uciążliwą. Głodek bowiem nie rozumiał jednej prawdy — że jak nie można boksem, to trzeba sposobem. Mocno naciskał, przeważnie poprzez zjednoczenie, tak że z około dziesięciu projektów przyjęto w Azotach około dwu, a zastosowano blisko trzy. Ale to nie był sposób, to był boks.

Mocznik, jak wiadomo, jest bardzo pożytecznym nawozem sztucznym. Końcowy etap produkcji tego nawozu odbywa się w urządzeniu zwanym topnikiem, gdzie krystaliczny mocznik zostaje stopiony, wystudzony i stąd w postaci granulatu idzie na pakowaczkę, a następnie w Polskę do świadomych rolników.

W 1969 roku stało się jasne, że licencyjne topniki japońskie, zainstalowane w puławskich Azotach, zużywają nadmierną ilość pary w stosunku do założeń projektowych. Instytut Nawozów Sztucznych w Puławach (INS), podległy krakowskiemu zjednoczeniu, pracował od pewnego czasu nad udoskonaleniem tych topników (przy współudziale kadry z puławskich Azotów) i szykował jakiś projekt w tej sprawie.

Tymczasem 16 X 69 r. Stefan Głodek złożył wniosek racjonalizatorski dotyczący zmniejszenia zużycia pary w topniku i zwiększenia wydajności urządzenia. A że czegoś już się Głodek nauczył, więc zabezpieczył wykonanie swego projektu, dobierając jako współautora jednego z mechaników remontujących podobne urządzenia, aby potem nie usłyszeć: „Ja wykonuję, a ty pochwały i pieniądze zbierasz!".

Projekt Głodka zyskał w Azotach opinie sprzeczne, negatywne ze strony ludzi współpracujących z INS. A że dojrzał już pomysł samego INS, więc Komisja Oceny Projektów Wynalazczych postanowiła 5 XII 69 r., iż oba konkurujące ze sobą rozwiązania zostaną przesłane do Biura Projektowo-Konstrukcyjnego ZA „Kędzierzyn" dla zaopiniowania, aby puławskie Azoty mogły wybrać projekt lepszy i ten wypróbować.

W marcu 70 r. przyszła z Kędzierzyna odpowiedź, że najlepszy jest projekt opracowywany aktualnie w Biurze Projektowo-Konstrukcyjnym ZA „Kędzierzyn", oparty zresztą na pewnych pomysłach japońskich. Natomiast projekt Głodka, jako tańszy, łatwiejszy w wykonaniu i skuteczniejszy, jest lepszy od projektu INS.

Mając wreszcie pożądaną jasność, Komisja Oceny Projektów Wynalazczych w puławskich Azotach podjęła 14 IV 70 r. postanowienie sprzeczne ze swym poprzednim postanowieniem oraz z opinią kędzierzyńskich specjalistów. Cytat z protokołu: „Dyrektor Fedyszak zawnioskował przyjęcie projektu inż. Głodka do prób, lecz po przeprowadzeniu prób i badań wg projektu INS, do którego są już zaawansowane prace wykonawcze w ramach programu poprawy stanu technicznego Zakładu Mocznika. O ile próby i badania wg projektu INS wypadną negatywnie, to zostaną przeprowadzone próby i badania wg projektu inż. Głodka. W wyniku głosowania członkowie komisji zgodzili się z propozycją Dyrektora Fedyszaka". Musiało to być bardzo demokratyczne głosowanie, skoro oryginalna pisownia protokołu wygląda właśnie tak: komisja, Dyrektor.

Głodek zaczął boksować poprzez różne instancje, a skończyło się na krakowskim zjednoczeniu, które 15 I 71 r. zwróciło uwagę puławskim Azotom że trzeba przeprowadzić próby obu rozwiązań (Głodka oraz INS), wyniki porównać i wybrać rozwiązanie bardziej opłacalne.

Mimo tego 29 III 71 r. Głodek otrzymuje od puławskich Azotów, swego chlebodawcy, zawiadomienie następującej treści: „Według aktualnego rozeznania proponowane rozwiązanie przez autorów nie jest lepsze technologicznie ani bardziej skuteczne od zastosowanego rozwiązania konstrukcji topników przez INS w ramach prac modernizacyjnych wykonywanych na instalacji mocznika. Stąd też niecelowym jest prowadzenie prób i badań zgłoszonego projektu". Podpisał: Zastępca Dyrektora ds. Technicznych mgr inż. Marian Fedyszak.

Głodek znów poboksował i 5 X 71 r. zjednoczenie wysyła do Puław pismo, gdzie czytamy m. in.: „Niewielki koszt wykonania i zabudowy dodatkowego elementu grzejnego umożliwia szybkie sprawdzenie założeń i efektów przyjętych przez autorów. Zakłady nie wykonały prób mimo zaleceń i otrzymanych pozytywnych opinii oraz nie ustosunkowały się do opinii BPK ZA „Kędzierzyn". W związku z powyższym Zjednoczenie zaleca wyznaczenie przez Zakład terminu, w którym następny topnik wykonany zostanie wg rozwiązania zaproponowanego przez mgr. inż. S. Głodka. W wypadku uzyskania pozytywnych wyników należy przyjąć obowiązujący tryb postępowania". Podpisał Główny Inżynier Postępu Technicznego, Franciszek Górka.

Czas płynął, sprawa żyła dwa lata i jakoś żyje dotąd, czyli lat dziesięć. Aby dowiedzieć się, jakich to sposobów poniechał, jakie prawdy życiowe od początku zaniedbał Stefan Głodek, pojechałem do Krakowa porozmawiać właśnie z dr. Górką, przedstawicielem Zjednoczenia „Petrochemia", które cały czas zajmowało stanowisko bezstronne w sprawie.

Zakład zawsze bardziej zainteresowany jest współpracą z instytutem aniżeli z indywidualnym racjonalizatorem, albowiem w pierwszym wypadku podpisuje się umowę badawczo-wdrożeniową i nagrodą dzielą się obie strony: zakład oraz instytut. Obrotni racjonalizatorzy szukają kontaktu z instytutem, a nie walczą, chyba że ich indywidualne projekty czy pomysły są evidentnie lepsze od pomysłów instytutowych, lecz tak w przypadku Głodka nie było.

Głodek powinien rozumieć sytuację, w którą się zaplątywał. Pisząc

Mecenat, ale z głową!

Dokończenie ze str. 1

kony barwne radości czystej sztuki, absolutnie nieczułej na konflikty społeczne czy wewnętrzne niepokoje człowieka po wielkim kryzysie i przed wielką wojną.

Memoriał krakowski doczekał się realizacji dopiero w Polsce Ludowej. Dzisiaj plastycy należą do środowisk lepiej sytuowanych — przede wszystkim dzięki szerokiemu rynkowi na prace użytkowe, który ostatnio dotknęły wprawdzie pewne ograniczenia, nie tak duże jednak, aby mówić o jakimś ostrym kryzysie w tej materii. Ale i z twórczości tzw. warsztatowej, najbardziej istotnej dla rozwoju sztuki, utrzymuje się obecnie w Polsce około 400 autorów, o czym lat temu, powiedzmy, dziesięć nikt nawet nie marzył. Dzieła wybitnych malarzy czy grafików kupują muzea i galerie, istnieje namacalne zainteresowanie naszą sztuką za granicą, od niedawna pojawił się w Polsce nabywca prywatny. No i ceny poszły w górę: znany malarz otrzymuje za swoje rysunki 15 tysięcy złotych, metalowa forma przestrzenna (40 cm wysokości) uczestnika międzywojennej awangardy kosztuje 70 tysięcy, obrazu znanego malarza nie kupi się dziś za kwotę mniejszą niż 20—30 tysięcy. Płótna ścisłej czołówki osiągają ceny od 50 do 150 tysięcy złotych. Dodajmy do tych wartości stypendia okresowe i zagraniczne — nierzadko efekt współdziałania resortu kultury z fundacjami polonijnymi np. w USA — i przeciętnie niekiepskie zaopatrzenie środowiska plastycznego w pracownie oraz szerokie możliwości wystawiennicze (45 placówek BWA, kilkadziesiąt innych galerii), a otrzymany szkicowy kształt mecenatu państwa nad sztuką w Polsce, mecenatu nieźle chyba wywiązującego się ze swoich powinności. Ale właśnie tę hojność miałbym naszym mecenasom za złe.

Nie przejęzyczyłem się, ale potwierdzając powyższą opinię dodam, że mam za złe instytucjom państwowym i społecznym, ministerstwom i zakładom produkcyjnym sprawowanie mecenatu nad sztuką na zasadzie demokratyczno-statystycznej. Nie podoba mi się tego typu demokracja, zatem rzecz całą muszę na wszelki wypadek wyjaśnić szerzej.

ZPAP skupia niemal 10 tysięcy członków i każdy z nich ma prawo do urządzenia wystawy indywidualnej w placówce powołanej m. in. do świadczenia usług wobec związku plastyków, czyli w BWA. Ale kto ośmieli się twierdzić, że 10 tysięcy zawodowych malarzy, rzeźbiarzy czy grafików to osobowości faktycznie twórcze, czy przynajmniej sprawnie realizujące jakąś konwencję artystyczną? Chyba nikt. Tymczasem krajowe BWA ze statutowych konieczności wystawiają rzeczy autorów miernych, balansujących na krawędzi kiczu, tym samym dokonując dwuznacznej moralnie i szkodliwej w procesie społecznej edukacji operacji awansowania tego, co zasługuje na wstydliwą ciszę magazynu. Tylko niektóre placówki BWA w kraju, na przykład łódzka, kierowana przez Bernarda Keplera, skutecznie bronią się przed tak demokratyczną polityką promowania sztuki.

Nie tu jednak aligator pogrzebany, bo ostatecznie BWA jakoś tam, pożytecznie, funkcjonują — przynajmniej na tle innych instytucji wystawienniczych o charakterze okazjonalnym, jako to: kluby kultury, galerie przyzakładowe, ośrodki MPiK. W tym obszarze panuje absolutna demokracja, czy raczej złota wolność szlachecka, tam kłaniają się łaźnej (z natury przybytków) publiczności „dzieła" gospodyń domowych, byłych sportowców, aptekarzy, nauczycieli, starych i młodych — przebiegle wymieniane co pewien czas na obrazy lub grafiki o znacznej nieraz wartości. I właśnie ten melanż tandety i dobra widzi mi się społecznie groźną konstrukcją, wprowadzającą pełny mętlik do świadomości przeciętnego widza, który ma prawo wnioskować, że wszystko, co wystawia się w takim klubie, przynależy do sztuki. W sukurs tej niekontrolowanej inicjatywie śpieszy wiele dzienników, które drukują sążniste recenzje i wywiady (z zacnymi skądinąd ludźmi, nie mającymi jednak nic wspólnego z autentyczną twórczością. Kto urządza takie wystawy, kto kwalifikuje do druku głupie teksty recenzji? Każdy, kto nie posiadając kierunkowej kompetencji, dysponuje jakimś tam kierowniczym etatem w kulturze czy prasie. Nie mam nic przeciwko uczciwym amatorom, sam niejednokrotnie pisałem o oryginalnej twórczości nieprofesjonalnej, ułatwiając np. — chwalę się, bo mam czym — wyjście na szersze wody malarstwa Bazylego Albiczuka. Ale mózg mi zamienia się konfiturę, kiedy obserwuję publiczne premiowanie taniochy plastycznej, na dodatek poprzez sposób ekspozycji, degradującej rzeczywiste walory. Do szeregu, równaj w prawo! — no nie, proszę państwa, pod takim hasłem można rozwijać roboty publiczne, a nie kulturę artystyczną. Sytuacja ta, widoczna jak na dłoni, nie wpływa poza tym dodatnio na samopoczucie samych plastyków, którzy skłonni są, przynajmniej w Lublinie, podejrzewać niektóre instytucje o świadome wykorzystywanie amatorów w działalności obniżającej prestiż społeczny artystów zawodowych. Inna sprawa, że sami plastycy przyczyniają się do utrwalania takiej sytuacji, zgadzając się na wystawianie swoich prac na owych targowiskach wątpliwych aspiracji. No cóż, brak im może cierpliwości (i możliwości?) na oczekiwanie w długiej kolejce, prowadzącej do tzw. galerii autorskich, działających w zgodzie z ambitnymi na ogół programami.

Do niewesołych spostrzeżeń prowadzi także obserwacja polityki zakupów prac, która bardziej przypomina filantropię, niż autentyczne premiowanie wartości. Nasi urzędowi mecenasi na ogół zmierzają do tego, by wilk był syty i owca cała: kupują obrazy, ryciny lub rzeźby od każdego niemal autora wystawy za-

Komena str. 4

skargi na szefów, nie miał armaty, tylko lekki karabinek i musiał przegrać. A nawet gdyby wygrał, to też nie miałby życia w zakładzie, bo przyszedłby następny szef i sobie pomyślał: „Co to za cwaniak, który mojego poprzednika rozstrzelał!". Mądry racjonalizator nie walczy samotnie, lecz wchodzi w kontakt z kolegami i przełożonymi, inaczej kończy jak Głodek.

Po dwu latach wszelako zapowiadało się dla Głodka optymistycznie, choć z pozoru tylko. Rozpoczęto w Azotach puławskich budować prototyp Głodkowego urządzenia, co zajęło rok, choć urządzenie podobno bardzo proste, nawet zdaniem specjalistów z zakładu mocznika. Korygowano w Azotach projekt Głodka, on wprowadzał własne korektury, pełnej zgody nigdy nie było. W końcu wyszło na to, że to całkiem inny projekt niż z początku. Cała historia.

Próby prowadzono w okresie 19 XI 72 r. — 15 XI 73 r. I to znów cała historia. Jak Głodek chodził i spisywał notatki służbowe, że nie są dotrzymywane warunki harmonogramu prób, że urządzenia pomiarowe niesprawne, że próby nieporównywalne... Jak w Azotach próby powtarzano, jak porównywano wyniki... Wyszło w końcu, że projekt Głodka niedobry, badania wypadły negatywnie, urządzenie zdemontowano 30 II 74 r.

Nie potrafię ocenić, czy projekt Głodka był lepszy od topników japońskich lub rozwiązania INS. Ale jeśli Azoty wykazały wobec swego racjonalizatora taką samą lojalność w okresie badania prototypu, jak w okresie, kiedy usiłowały projekt storpedować przed dopuszczeniem do prób, to wniosek, że pomysł racjonalizatorski Stefana Głodka nigdy nie został rzetelnie sprawdzony. I nic nie upoważnia mnie do wniosku odmiennego.

Oczywiście, Głodek boksował nadal. A zresztą i w tak zwanym międzyczasie, również o inne swoje projekty wynalazcze. Większość walk przegrał. Coś tam wydusił, choćby za ową modernizację centralnego ogrzewania w pakowni mocznika, projekt niby nie przyjęty, ale częściowo stosowany, za który zjednoczenie nakazało po czterech latach wypłacić „wynagrodzenie typu szacunkowego, jeśli nie można wyliczyć efektów ścisłych, z jednoczesnym usatysfakcjonowaniem moralnym".

Pośród tych bojów obie strony poczuły, że mają się dosyć, i Głodek odszedł z Azotów, bo inaczej być nie mogło, z początkiem 1976 roku. Stefan Głodek, wysoki, barczysty mężczyzna, powiada, że wyszedł z tego wszystkiego roztrzęsiony i nerwowy jak histeryczne dziecko, co mu po części zostało do dzisiaj. Pracował w kilku firmach, z których odchodził z nie najlepszymi opiniami. Złożył podania o przyjęcie w kilku firmach i czeka na odpowiedź. Od przeszło roku nie pracuje i ostatnio znów zaczął walczyć, tym razem już głównie kosztem rodziny. Trzy lata po odejściu z Azotów traktował jako ładowanie akumulatorów, a teraz walczy, bo zyskał od nowa właściwości obronne.

Czego chce Stefan Głodek i o co walczy dzisiaj? Powiada, że o sławę, chwałę i satysfakcję moralną twórcy. Powiada też, że o sprawdzenie projektu modernizacji topnika (i paru innych) w warunkach obiektywnych. O pieniądze za efekty z nieformalnego wdrożenia projektu topnika, za wykonanie dokumentacji i nadzór techniczny nad budową prototypu. Czyli chodzi mu o wszystko. „Niech mi się zwrócą życiowe nakłady" — mówi, czepiając się każdej szansy.

Pod koniec ubiegłego roku Głodek otrzymał od zjednoczenia pismo oddalające jego pretensje związane z projektem topnika. Pismo trzymające się przepisów i konkludujące: „Od powyższej sprawy służy twórcom prawo dochodzenia roszczeń przed sądem wojewódzkim, właściwym ze względu na siedzibę jednostki gospodarki uspołecznionej, zobowiązanej do wypłaty wynagrodzenia".

Ale dr Górka powiedział mi półprywatnie, że gdyby Azoty chciały, znalazłyby podstawę do życzliwszego spojrzenia na zadawnioną sprawę z Głodkiem, nawet dzisiaj, po paru latach. Lecz Azoty nie chcą.

Rozmawiałem w Azotach z ludźmi, którzy decydowali w sprawie Głodka. Wszystkim się zdaje, że są w porządku, tylko Głodek nie jest w porządku. Bo czego on chce w końcu, nieprawdaż? I o co walczy, nieprawdaż?

Widzę w każdym razie, że Głodek dzisiaj walczy nieco inaczej. Zaczyna wierzyć w sposoby i składa pewne propozycje, zamiast po prostu plunąć na wszystko.

---

dywidualnej, urządzonej w salonie BWA, i w ogóle starają się „sypać" po troszeczku wszystkim zawodowcom, co buduje ładne statystyki i oficjalne opinie. W rezultacie zakup obrazu nie jest już faktem wyróżniającym jego autora, a magazyny BWA i muzeów, jeśli placówki posiadają takowe, pęcznieją od produktów niegodnych opieki, kłopotliwych, od czasu do czasu puszczanych w terenowy obieg w tzw. zestawach popularyzujących, pożal się boże, sztukę wśród szerokich mas.

W tej całej zabawie nie chodzi już o sztukę i satysfakcje wyższego rzędu, lecz o „szmal", ponieważ nawet faktyczni twórcy wiedzą, że z chwilą sprzedaży dzieła jednej z wymienionych instytucji lub jakiemuś wojewódzkiemu wydziałowi kultury skazują je na śmierć moralną: w magazynie, za szafą urzędu. To zresztą osobny problem, narastający od lat przede wszystkim w ośrodkach małych i średnich, nie posiadających odpowiedniej bazy muzealno-galeryjnej. Polityka zakupów oparta na statystyce i przypadku oraz wspomniana przed chwilą mizeria lokalowa wchodzą do katalogu przyczyn pewnego zniechęcenia, jakie dostrzec można bez mikroskopu w mniejszych środowiskach plastycznych kraju, a chyba nie tylko w takich.

Spustoszenia w subtelnej konstrukcji, jaką są hierarchie wartości i systemy norm kultury artystycznej sieje też bardzo demokratyczna instytucja plenerów, rozwijająca się fizycznie w tempie proporcjonalnym do rosnących aspiracji naszego społeczeństwa. Jeśli dawniej wyróżnikiem awansu kulturalnego miast, gmin i zakładów przemysłowych było posiadanie przez nie zespołów pieśni i tańca, tak dziś funkcje takiej wizytówki pełnią plenery plastyczne, urządzane rokrocznie w liczbie sztuk kilkudziesięciu. Obok spotkań cennych, pożytecznych dla sztuki i edukacji społecznej, odbywają się spotkania jałowe, organizowane przez ludzi mało kompetentnych i skupiające plastyków o siermiężnej raczej wyobraźni i intelekcie, którzy na domiar wszystkiego obdarowują gospodarzy płodami swoich możliwości twórczych. Fakt, że prace te przepadają nierzadko bez śladu, lub pokrętnymi drogami trafiają do mieszkań prywatnych różnych kierowników i prezesów nie jest w tym przypadku żadnym pocieszeniem. Jeśli już o tym wspominam: także organizatorzy plenerów ambitnych mają pewne kłopoty z właściwym ulokowaniem dzieł powstałych podczas tych spotkań, sensownie rozwiązano problem chyba tylko w Białymstoku i Koszalinie.

Zainicjowane na początku lat sześćdziesiątych, kontynuowane w niezmiennej na ogół postaci, plenery są dziś przeżytkiem, co oczywiście nie przekreśla samej idei okresowych spotkań roboczych na wolnym powietrzu, skupiających twórcze indywidualności różnych pokoleń. Zabierając się do ich ewentualnej modyfikacji należałoby może pamiętać, że na terenie sztuki ilość nie przechodzi automatycznie w jakość, przeciwnie, ambicje statystyczne (im więcej, tym lepiej) i opacznie pojmowany egalitaryzm prowadzą z reguły do depresji wartości. Prowadzą czy już doprowadziły? Odpowiedzi poszukajmy w nowoczesnych obiektach niektórych lubelskich uczelni, których pomieszczenia ozdobiono sentymentalnymi pejzażykami i wdzięcznymi „kwiatkami", podobnymi do tych, jakie znajdują się w wielu urzędach wojewódzkich kraju oraz w willach plantatorów tytoniu, ogórków i innej sałaty. Zły pieniądz wypiera lepszy, niestety.

Ireneusz J. Kamiński

W KRAJOBRAZIE SŁÓW

Krytyka literacka czy literackość krytyki?

Zygmunt Mikulski

ZACZYNAJĄC czytać artykuł Włodzimierza Maciąga „Narodziny literatury powojennej" chciałem stwierdzić, że autor dokonał nie lada wyczynu kilkoma komunałami zapełniając przeszło kolumnę druku w „Życiu Literackim" (15. VII.1979). Po skończeniu lektury stwierdziłem, że gratulacje należy podnieść, ponieważ nawet wśród stwierdzeń płaskich i nie wymagających żadnego wysiłku myślowego potrafią znajdować się sprzeczności. Popatrzmy.

Mówi Maciąg: *Literatura polska, jaka powstaje po roku 1939, życie literackie, jakie uruchamia rok 1944 — to są zjawiska jakościowo nowe, nie dające się zrozumieć przez odniesienie do jakiejś z wcześniejszych doświadczeń wyprowadzonej płaszczyzny „interpretacji"*. I w tym samym artykule ten sam autor: *Przeżycie wojny jako katastrofy kulturowej, interpretacja wojny jako zagłady wartości (...) — to wszystko jest interpretacją pisarską przygotowaną przez literaturę międzywojnia.*

Mówi Maciąg: *Poczucie ciągłości staje się jak nigdy może wcześniej problemem polskiej świadomości literackiej lat czterdziestych i pięćdziesiątych naszego wieku.* W tym samym artykule ten sam autor: *Odczucie owego niepokoju o ciągłość ma jakiś własny, jakby odrębny przebieg w histori literatury powojennej.* A więc jest najpierw poczucie ciągłości, później o tę ciągłość niepokój. I żeby już dopełnić chaotyczności w postawieniu sprawy: *Nawet wtedy, gdy pojawiały się owe generalne zaprzeczenia, owe akty unicestwienia literatury już posiadanej (jak u Borowskiego na przykład), nawet wtedy literatura objawia swoje pokrewieństwa z poprzednikami, ponieważ akt odrzucenia kultury zastanej ma wcześniejszy rodowód literacki.* (Nawiasem: zdumiewa gramatyczna „zgodność" użytych tu czasów). Więc po cóż niepokoić się o tę ciągłość, kiedy jesteśmy na nią wprost skazani? Rzecz w tym, że Maciąg nie ma jednolitej zasady w patrzeniu na zjawiska literackie, w formowaniu opinii krytyczno-literackich, a to mu znakomicie ułatwia zapominać sądy dopiero co wypowiedziane.

Cytatów w tym, co napisałem jest może za dużo, ale to też zasługa Maciąga, który unika sformułowań zwartych i jak może tak rozcieńcza stylistycznie swoje enuncjacje, dbając przede wszystkim o ich zewnętrzny szych i polor. Jego tekst pstrzy się od różnych „siatek interpretacyjnych", „zabiegów nominacyjnych", „pól wartości" itp. A sposób przeprowadzania wywodu? Mówi Maciąg, że programy literackie po roku 1918 manifestacyjnie owej ciągłości zaprzeczały. Więc niepokój o ciągłość był nieuzasadniony, ponieważ programy (i to w liczbie mnogiej) są jakimś wyrazem świadomości literackiej pokolenia, alias na poczucie ciągłości nie było zapotrzebowania. Ponadto — czy to prawda, że zaprzeczały? Np. czy poetyka Skamandrytów aż diametralnie różniła się od poetyki Młodej Polski? I rzekomo jacyś ekstremiści głosili hasła likwidacji muzeów. Mowa o futuryźmie, który w Polsce był ruchem mniej niż efemerycznym, bo już do nas dotarł po swej śmierci na Zachodzie, a u nas pełnił funkcję raczej literackiej zabawy, jak wśród dzieci gra w zielone — „Wracają" dyskusje wokół Brzozowskiego. Brzozowski umarł w roku 1911, więc w okresie międzywojennym dyskusje „wróciły". O potrzebie ciągłości mówili jedynie starzy, jak Irzykowski, których odsyłano do lamusa: miał więc kto wyrażać niepokój o ową nieszczęsną ciągłość? Mimo to ten niepokój jest tak duży, że... prowadzi do *przeczucia nadciągającego dramatu i katastrofy.* Brawo. Mamy nową koncepcję wybuchu drugiej wojny światowej: gdyby Polacy byli zgodni co do aktualnego miejsca swojej tradycji literackiej, Hitler nie uderzyłby na Polskę. Jakże łatwo klerkistyczny krytyk podstawia jedną rzeczywistość na miejsce innej. Wystarczy dwa stany rzeczy: literacki i historyczny złączyć jednym słowem „niepokój", a stwierdzenia przemieszczają się swobodnie z jednej dziedziny w drugą. Bezceremonialność również w drobiazgach. Mówi Maciąg, że po roku 1956 została zagwarantowana *stopniowa rewindykacja dóbr kulturalnych* takich jak twórczość Krasińskiego, Norwida i „Rodzina Połanieckich". O „Rodzinę Połanieckich" aż do jej telewizyjnej adaptacji nikt się nie martwił, a nawet pojawiały się głosy, że jest to powieść, do której sam Sienkiewicz powinien się nie przyznać.

Wszystko to jest rezultatem maniery krytycznej — a w tej Maciąg celuje — by kaszą słów i pseudownikliwych powiedzonek przysypać brak generalnego stanowiska w ocenie zjawisk i wydarzeń. Nie pytam autora „Narodzin literatury powojennej" o jego kanon wartości, co uczynił Bieńkowski pod adresem Sandauera w dyskusji po Sandauerowym szkicu na temat powojennej poezji. Kryteria krytykowi można mieć dowolne. Byle umiał je uzasadnić, byle umiał nimi operować. Ale nie do wybaczenia jest rozminięcie się z postulatem wniesienia nowego widzenia. Bo inaczej czymże jest krytyka? Dyspozycją zadrukowywania literackich tygodników. Zabawą w inteligencję. Mistyfikacją nastawioną na wywołanie złudzenia myśli. Grą w sztony, których wartości nie wypłaca żadna kasa.

Zadziwiające, jak autorzy nie kontrolują samych siebie. Gorzej, ulegają łatwiźnie osuwania się po linii najmniejszego literackiego oporu. Oto przykład z innej dziedziny. W powieści „Ręka Ojca" (Czytelnik, 1976, wydanie III) na str. 89 Wojciech Żukrowski pisze: *Spróbował ją niezręcznie objąć i pocałować, zderzyli się wargami, suchymi z mrozu.* A zaledwie 20 wierszy (wierszy, nie stron!) dalej: *Włosy miała rozwichrzone, wargi wilgotne i dymiące ciepłem.* Jedno i drugie o tej samej dziewczynie. A o innej na str. 74—75: *Irka wbiegła na schody. Ruchy jej były niezręczne, jakby nie oswoiła się jeszcze z długością nóg. W ostatnim roku wyrosła bardzo.* O niej na str. 125: *Chwilami jak mała dziewczynka skakała na jednej nodze. Cieszyła się samą lekkością ruchów, posłuszeństwem młodego ciała.* Ustalmy: albo młoda dziewczynka ma za długie nogi i przez to jej ruchy są niezręczne, albo ruchy są lekkie, bo całe ciało jest posłuszne swej właścicielce. Tu nie było zastanowienia. Tu poszło samo pióro.

Literackość to termin pejoratywny. Piszący powieści woli być pisarzem niż literatem. Piszący wiersze — poetą niż zecerem metafor. Ale okazuje się, że można być również literatem pisząc krytyki. I właściwie tylko taki typ ostatnio się wykształcił. Nie powtórzę: gdzie Brzozowscy, Irzykowscy, Chwostkowie, Witkiewiczowie. Ale jakaś podstawa filozoficzna, jakaś jednorodność spojrzenia na cały obszar spraw literackich jest nie do pominięcia, jeśli się ma na celu coś więcej niż zadrukowanie kolumny tygodnika. A już niesprzeczność z sobą to chyba warunek — alfabet. Chyba, że nadchodzi epoka anty-krytyki, to znaczy tych wszystkich zasad potraktowanych humorystycznie, przewrotnie, eksperymentalnie, z perskim przymrużeniem oka. Już bym to nawet wolał.

Dziwne. Przecież i krytycy między sobą polemizują. Nie widziałem, żeby ktokolwiek komukolwiek wytknął elementarny brak logiki. Kurtuazja to, czy tego braku niedostrzeżenie powstałe również z braku logiki? To w takim razie dlaczego narzekamy na brak krytyki? Jeśli się ma zreaktywować taka, a jeszcze w takich swych cechach spotęgować, to lepiej niech dalej spoczywa w letargu. Krytycznego czytelnika zdenerwuje co najwyżej raz na rok.

W końcu nawet nie tym, że zawiera sprzeczności powstałe z zapomnienia tego, co się pomyślało. Tym, że się nie pomyślało w ogóle.

Kamena str. 5

DNI PIERWSZE (III)

Niewiarygodne lecz prawdziwe...

Ireneusz J. Kamiński

12 SIERPNIA był dniem szczególnie zresztą bogatym w wydarzenia. Oto po południu w Teatrze Miejskim [illegible] premierą „Moralności pani Dulskiej" wystąpił zespół lubelski, kierowany przez Józefa Klejera, który zgodnie z obowiązującym protokołem p[illegible] stołecznej powiedział kilka [illegible] informacyjno-grzecznościowych do prasy. W imieniu wojska — co też mieściło się w ówczesnym kanonie obyczajowym — przemówił por. Stefan Matuszewski. No i zaczął się spektakl o treści znanej wielu pokoleniom. Irena Ładosiówna (rola tytułowa i reżyseria), Irena Bielenin, Halina Buyno, Maria Górecka, Edward Kowalczyk, Mieczysław Wielicz i inni aktorzy, nierzadko słuchacze konspiracyjnych kursów gry scenicznej, prowadzonych przez Klejera i Ładosiównę w Lublinie — ten cały pionierski zespół kwestia po kwestii, akt po akcie szczęśliwie zbliżał się do końca przedstawienia, oglądanego przez pęczniejący w sali tłum publiczności, aby w finale zbierać serdeczne, długo trwające brawa i kwiaty sypiące się na scenę. Sam minister Rzymowski przesłał Ładosiównie róże z biało-czerwoną wstęgą, na której złotymi literami wymalowano: „wskrzesicielce Polskiego Teatru"...

„Pani Dulska": żelazna pozycja każdej sceny dramatycznej, komedia obyczajowa z szerokim marginesem do ogólniejszej refleksji moralnej... Ale nie w tamtym czasie, po pięciu bez mała latach niewoli, niedaleko frontu! Świadczy o tym recenzja przedstawienia, zamieszczona przez W. B. w „Gazecie Lubelskiej".

„(...) Tak, pani Dulska jest symbolem olbrzymiej kasty w naszym społeczeństwie, kasty, która nie patrząc na losy narodu, nie patrząc na historię krwawym strumieniem przepływającą przez nasz kraj, zawsze dbała tylko o jedno: żeby w ich kamienicach i folwarkach było dobrze, zacisznie i wygodnie..."

Z jawną aktualizacją treści sztuki spotykamy się przy próbie interpretacji córek Dulskiej, postaci służącej i jej chrzestnej matki.

„W czasie obecnej wojny wiejskie Hanki także często przechodziły konspiracyjne kursy sanitarne, przygotowując się do służby ważniejszej i godniejszej... To tylko duchowe córki pani Dulskiej brały w ciągu ostatnich lat cenę za siebie w złotych, markach i w naturze". A ile takich matek chrzestnych, kobiet z tzw. dołów, słało swych synów do partyzantki...

W podobnej perspektywie, ale ostrzej spojrzał na „Moralność" J. M. (zapewne Janusz Minkiewicz), na łamach „Rzeczypospolitej" konfrontując spektakl nie tyle z tradycją gatunku, z wcześniejszymi inscenizacjami, z obowiązującym paradygmatem sztuki aktorskiej, co przede wszystkim z doświadczeniami okupacji. Ten recenzent nie znalazł życzliwego słowa dla żadnej z postaci komedii.

Takich domów z Dulskimi w roli głównej — stwierdzał na wstępie autor — sporo było w Generalnej Guberni. Owszem, złorzeczyły te panie na hitlerowców, ale nierzadko wyznawały, że „mimo wszystko Niemcy to wyższa kultura, że ostatecznie często można się z nimi dogadać, że łatwiej znaleźć wspólny język z nimi, niż z tymi barbarzyńcami ze wschodu". A bo też Dulskie okupacji załatwiały z Niemcami wiele prywatnych interesików, wpychając im łapówki. Poza tym słały Hesie i Mele do pracy w charakterze kelnerek, naturalnie, w drogich restauracjach, polecając córeczkom zawieranie intratnych znajomości z wpływowymi Niemcami, którzy w rezultacie zaczynali gościć u Dulskich. Najlepiej miałby się Zbyszek, od którego nikt nie wymagałby pracy biurowej za marne 300 złotych. „Chodziłby po kawiarniach w fantastycznie skrojonej marynarce do kolan i niemęczącym handlem złotem i walutą zarabiałby na codzienną wieczorową kolację". Służąca zaś odeszłaby z posady już na początku okupacji, po zorientowaniu się, że korzystniejsze jest jeżdżenie „za szmuglem"... Więc premiera, konstatował recenzent, ma znaczenie wychowawcze, pobudzić winna do refleksji nad ciągle aktualnym problemem dulszczyzny.

Następne tygodnie miały dostarczyć kolejnych przykładów takiej właśnie optyki interpretacyjnej, takiego odczytywania dzieł sztuki przynależnych do różnych gatunków, które na plan dalszy odsuwało autonomiczne, formalne wartości np. wiersza, opowiadania, obrazu czy spektaklu teatralnego. Miejsce kryteriów estetycznych zajęła etyka i polityka, rzeczywistość wojenno-okupacyjna stała się głównym systemem odniesienia, do którego niejako przykładano konkretne realizacje artystyczne. Co nie zgadzało się ze zbiorowym doświadczeniem, co wymykało się w rejony samowystarczalnej gry formalnej — przyjmowane było z dezaprobatą. Trzeba przy tym wiedzieć, że już w okresie Polski lubelskiej do wejścia w salony sztuki sposobiła się nowa publiczność, oczekująca od kultury artystycznej świadectwa życia, ekspozycji zjawisk i problemów pozostających w okręgu jej potocznego poznania. Zresztą niewiele później i Kazimierz Wyka jednoznacznie stwierdzi na łamach „Kuźnicy", że po drugiej wojnie światowej „forma nie ma służyć eksperymentatorstwu. Ma służyć odbudowie pełnego sensu Arystotelesa: prawda poprzez formę". Jakoś nikt nie zwrócił dotąd uwagi, że zbliżone, acz prościej formułowane przekonania ujawniały się już w 1944 roku.

W tym czasie w Lublinie pojawiały się już przecież publikacje wyraźnie programowe, kreślące wizje przyszłości w sferze szeroko pojętej kultury. Pierwsza z nich, o dziwo, nie dotyczyła tak miłej polskim emocjom i mitologiom literatury, lecz... architektury. Pod tytułem „Odbudowa" sformułował ją na łamach 11 numeru „Rzeczypospolitej" kpt. Józef Sigalin.

Kraj jest zniszczony przez Niemców — stwierdzał na wstępie autor — czeka na odbudowę, czemu powinno towarzyszyć rozwiązywanie problemów jeszcze z czasów Polski przedwrześniowej: głodu mieszkaniowego, bezplanowości w budownictwie, budowlanego zacofania wsi. Nie wolno jednak przeoczyć, że tamta Polska pozostawiła nam również w spadku „wiele przykładów twórczej myśli i wykonawczej energii w budownictwie i architekturze". Dowodem — kontynuował Sigalin — Gdynia i niektóre obiekty w Warszawie, Chorzowie, Mościcach, Porąbce, Szkoła Przemysłowa na Śląsku, schronisko na Kasprowym Wierchu. „To leży w skarbnicy na wierzchu, a gdy garścią pełną zaczerpnąć, sięgnie się do Kazimierzów, Jagiellonów, Stanisławów Augustów. I trudno wybrać, co sercu bliższe..." Nie łudźmy się jednak: zastaniemy w kraju ruiny i zgliszcza, które odbudujemy, naturalnie, ale na nowych zasadach: wielkich przedsięwzięć planowanych i finansowanych przez państwo, co możliwe tylko w warunkach demokracji. Tym wszystkim musi rządzić wielka myśl architektoniczna, kształtowana na forum publicznym, nie tylko w salach SARP-u. „Koniec z zaściankowością" — akcentował Sigalin. „Otworzyć okno na Europę! Chłonąć co dobre. Niech obrasta silny, ludowy, narodowy kościec polski w ciało nowoczesnego budownictwa. Wyrwać się z miłego odorku szlacheckich dworów na szerokie wody światowej kultury... W polskim pięknym krajobrazie dobrze siedzi i stalowa konstrukcja Corbusiera, wypełniona szkłem, i chata kurpiowska, żelbetowe fantazje Jeannereta i domki góralskie..."

Pamiętając o powojennych meandrach polskiej architektury, które kreślił m. in. właśnie autor tego mądrego tekstu, chciałoby się rzecz skomentować ironicznie. Ważniejsze jednak wydaje się wskazanie w tym miejscu na sprawę mocno ulokowaną w temacie publikacji: na racjonalność i dalekosiężność idei formułowanych w różnych środowiskach Polski PKWN. Nie wszystkie co prawda, zostały spełnione — ale to już osobny problem.

Dwa dni po premierze „Pani Dulskiej" opublikowano w „Rzeczypospolitej" oświadczenie TASS: odpowiedzialność za powstanie warszawskie, o którego przygotowaniu nie powiadomiono wcześniej wojskowych władz radzieckich, „spada wyłącznie na polskie koła emigracyjne w Londynie".

Także 14 sierpnia, w sali Towarzystwa Muzycznego, Wincenty Rzymowski wygłosił odczyt pt. „Zadania sztuki w Polsce demokratycznej". Mówiąc o ogromnych stratach, jakie poniosła kultura podczas wojny i okupacji, szkicując plany jej odbudowy wyraził ponadto przekonanie, że twórcy przebywający jeszcze na emigracji powrócą rychło do wolnego kraju. Sprawy plastyki oraz teatru przedstawili kierownicy odpowiednich wydziałów w Resorcie Kultury i Sztuki: Aleksander Rafałowski i Tadeusz Wołowski.

Jeszcze jeden fakt wart jest odnotowania. 19 sierpnia Rzymowski wezwał „wszystkich pracowników sztuki, a mianowicie literatów, kompozytorów, śpiewaków, aktorów, pedagogów szkolnictwa artystycznego, muzyków, plastyków, baletmistrzów i tancerzy oraz wykwalifikowanych maszynistów i rzemieślników teatralnych, suflerów, inspicjentów, sekretarzy i administratorów scenicznych i koncertowych, o ile nie są jeszcze zgłoszeni w Resorcie Kultury i Sztuki, do natychmiastowego zarejestrowania się w biurach Resortu..."

I na tym można zamknąć opisanie wstępnego, przygotowawczego okresu w kulturze Polski lubelskiej. To niewiarygodne, lecz rzetelnie prawdziwe: w czasie zaledwie trzech tygodni od momentu wyzwolenia miasta rozpoczęły działalność teatry, redakcje gazet, kina, rozgłośnia radiowa, zorganizowały się środowiska twórcze i odpowiednie resorty, zainicjowano dyskusje programowe. Nie osłabia wymowy tej sytuacji fakt, iż spory kawał tego dobra przyniosło z sobą wojsko, że to właśnie ludzie w mundurach, z natury rzeczy sprawni i szybcy w działaniu, byli zasadniczą siłą wielu przedsięwzięć. Świadczy to po prostu dobrze o wewnętrznej polityce naszej młodej armii — a zresztą: kto wówczas z twórców kultury nie służył w wojsku, albo wczoraj jeszcze nie był w partyzantce?! Nieliczni, zazwyczaj ci, którzy nie mogli.

Jeden z fenomenów Polski lubelskiej sprowadza się właśnie do tempa, z jakim przystąpiono do odbudowy kultury narodowej: równocześnie we wszystkich bez mała jej dziedzinach. Tego historycznego zadania nie można by jednak realizować bez żywego udziału całego społeczeństwa. Przypadek bosego Albina ze „Ślubów panieńskich", któremu jeden z widzów pożycza własne buty i w skarpetkach siedząc dalej obserwuje przedstawienie Teatru 1 Armii Wojska Polskiego, przypadek sam w sobie zabawny i wzruszający, był w gruncie rzeczy symbolem ogólniejszej sytuacji: serdecznego nachylenia się wolnych ludzi w kierunku kultury. Czego od niej oczekiwali? Polskości, słowa polskiego, potwierdzenia własnej tożsamości narodowej, spełnienia skrywanych aspiracji, zwyczajnej rozrywki, towarzyskiej przygody, satysfakcji estetycznej? Zapewne, gdzieś w tym rejestrze należałoby szukać wartości ściągających publiczność do teatrów, kin, na koncerty i wystawy malarstwa wreszcie, nie wahając się jednak zbytnio przed umieszczeniem na czołowym miejscu owej listy motywów patriotycznych. Warto przecież postawić jeszcze jedno pytanie: czy zbiorowości zagrożonej niedawno biologicznym wyniszczeniem nie ciągnął do kultury po prostu instynkt życia? I czy powszechne uczestnictwo w różnych manifestacjach kultury artystycznej nie poświadczało żywotności fizycznej, psychicznej i moralnej Polaków?

Wokół teatru i w świadomości ludzi, którzy go właśnie opuścili, panował jednak stan wyjątkowy historii, choć w perspektywie ulicy wiele rzeczy wabiło spokojną zwyczajnością. Na rynku sprzedawcy zachwalali „Parówki, świeże gorące parówki!" inni zachęcali „Do papierosów, prawdziwych, machorkowych papierosów!" Sprawozdawca jednej z gazet skrupulatnie wyliczał dobrodziejstwo targowego inwentarza, zda się pożerając oczyma ogórki, kapustę, pomidory, fasolę, bobr, cebulę, mleko i „biały czosnek, jakiego nie powstydziłby się ukraiński czarnoziem". Nieoczekiwanie coś mu się jednak nie spodobało, mimo że było pięknie uczesane i błyszczało lakierowanymi paznokciami. Ale w tych dłoniach widniała litrowa butelka niemieckiej wódki. „Zdawało mi się, że na butli z likierem widzę odciski skrwawionych palców niemieckiego żołdaka". I zaraz autorowi przypomniała się scena z więzienia, gdzie hitlerowski żandarm uspokaja kolegę po fachu: „Poczekaj na mnie trochę, mam tylko zastrzelić jedną Żydówkę, a potem zjemy razem podwieczorek".

Na dokumentalnych filmach radzieckich o zbrodniach hitlerowskich publiczność ciężkim milczeniem zapadała w krzesła, rycząc z radości na widok dywizji niemieckich pokonanych pod Moskwą i jenieckim marszem przemierzających rozległe ulice stolicy Kraju Rad.

Do redakcji napływały listy czytelników, którzy z oburzeniem zwracali uwagę, że niemieccy jeńcy wojenni odżywiani są dość przyzwoicie, podczas gdy żołnierze radzieccy w hitlerowskiej niewoli morzeni byli głodem.

Prasa publikowała nazwiska wybitnych Polaków zamordowanych podczas okupacji, radio uruchomiło skrzynkę poszukiwania rodzin, w „Rzeczypospolitej" ukazywały się pierwsze reportaże i wspomnienia więźniów Majdanka, działała komisja polsko-radziecka do zbadania zbrodni popełnionych w tym obozie, o którego śmiertelnej treści pisały już gazety moskiewskie, nowojorskie i londyńskie dzięki korespondencjom Konstantego Simonowa — a tymczasem jakiś technik dentystyczny zgłaszał w gazecie chęć kupienia sztucznych zębów, co w kontekście wiedzy o „praktykach stomatologicznych" na Majdanku musiało budzić dwuznaczne skojarzenia.

Warszawa krwawiła, wojska radzieckie atakowały Sandomierz, alianci toczyli wielką bitwę w Normandii — a w Lublinie przygotowywano się do otwarcia szkół podstawowych, przyjmowano zapisy do średnich, poprzez ogłoszenia prasowe poszukiwano zaginionych psów, oferowano rowery przedwojenne, tzw. balonówki na drewnianych obręczach, koty syjamskie, fiołki alpejskie oraz usługi w zakresie medycyny i nauki języków obcych: angielskiego, francuskiego i — signum temporis — rosyjskiego.

Czas zwycięstwa mieszał się z czasem żałoby, sprawy wielkie z drobnicą życia, euforia pierwszych dni wolności z niepokojem o jutro.

Tak, odbudowę kultury polskiej rozpoczęło w warunkach stanu wyjątkowego historii.

Kamena str. 6

ŹRÓDŁA

CZTERY KOLUMNY MŁODOLITERACKIE

Waldemar Dras

STRZEGĄCY KONI

ZATEM, niepokojące światło pyta: „Dlaczego nie uciekasz? Kim są, mówiący teraz szeptem? Czy pytają o kolor? Kto widział ich jeszcze? Dlaczego wybrali linię zmierzchu?".

I kiedy lampa gaśnie, ktoś wyprzedza strach i pierwsza kropla krwi spada w jego ręce. I on, aby mówić, opuszcza głowę: „Czekam od wielu lat, chociaż oni poszli na północ."

— Będziesz wolny jeśli powiesz, dlaczego tak długo nie wracają. Być może spełnimy jakieś twoje życzenie?

— „Chciałbym się zemścić."

— Czy będziesz milczał?

— „Zrobię to, o co prosicie. Nie mogę jednak stąd odejść, dopóki nie zjawi się pierwszy z nich i nie powie: ten koń należy do ciebie."

— Tak powiedzieć może każdy z nas.

— „Będę czekał."

I wtedy on wie, że każdy podobny sen czuwa nad jego samotnością. Więc nie może odejść w przeciwną stronę. Aczkolwiek, istnieje możliwość uniesienia, wzrok pozostaje nieuchwytny. I on, aby milczeć, opuszcza swoją głowę.

„Nie jest tajemnicą, dlaczego mówiący szeptem, nie pytają o kolor — bowiem nie pyta się o drogę człowieka, który zbłądził."

PTAK JEZIORNY

(dla Anny Waszczuk-Listowskiej)

ON mówił: „Ptak jeziorny przybędzie dziś wieczór. Oczekuj go." A ona zapytała: „Jaki kolor jego jest?". I on spojrzał w jej twarz i powiedział: „Jest to kolor krwi." „Twoja krew jest niebieska — nie utoniesz" — „powiedziało lustro, kiedy miałam sześć lat." A on zapytał: „Co zrobiłaś wtedy?" I Anna odrzekła: „Płakałam wśród traw. Mówiłam do lustra: obudź mnie! I czekałam. I wtedy przychodził mężczyzna, który wypowiadał słowo DOTKNIJ. I ja biegłam, aby spełnić jego życzenie. A on mówił: nie wiesz kim jestem. A ja krzyczałam: jesteś tym, który chce zamknąć oczy, jesteś tym mężczyzną."

Noc po dziś dzień ukrywa ten krzyk. Uśpiona podnosi jednak głowę. Właśnie ptak jeziorny przybył pod jej okno. Tego nie widzi już nikt. I on zapytał:

— „Dlaczego ryby świecą?"

A ona odpowiedziała mu:

— „Jestem chora. Wieczność karmi się moim wzrokiem."

— „Przyszedłem po twoje oczy, Anno." — powiedział ptak.

— „Leżą tam, tam i tam" — i Anna wskazała ręką na cały pokój. Ptak usiadł na oknie i czekał.

— „Nigdy nie byliśmy tak blisko siebie."

— „A ja nie przywykłam jeszcze do swojej niewidzialności" — powiedziała Anna. I kiedy już miała objąć jego skrzydła suknia zsunęła się z jej śnieżnych ramion i ptak zanurzył w jej piersi swój igłasty dziób.

— „Mów do mnie, ptaku" — szeptała Anna — „to wszystko, co mogę ci ofiarować. Ukryj się! Moja krew jest niebieska, nie utoniesz."

I ptak nie waha się — odlatuje. Przy opuszczonych powiekach, głowa przechyla się w lodowaty sen: Anna nie czuje steru ramion.

Wiele lat później słuchając koncertu d-moll na skrzypce i orkiestrę Jana Sibeliusa, zrozumiałem, że wszystkie kobiety świata nigdy nie dowiedzą się, kim byłem w ich życiu. Lustro bowiem, i czarne ptaki strzegą niewidomych, śniegi i wiatr — przestrzelonych skroni.

DOJRZAŁOŚĆ

BYŁO już zupełnie ciemno, kiedy Grygoryna Z. zbliżyła się do okna i powiedziała:

— Spójrz na moje ramiona, są jak brwi.

— Dlaczego patrzysz w okno? — zapytałem.

— W tym świetle czuję się bezpiecznie. Podaj mi nóż!

Spełniłem jej życzenie. Zimna stal błysnęła w jej oczach. Jednym ruchem uwolniła się z naszyjnika i powiedziała:

— Przypatrz się szybie.

— Dlaczego chcesz to zrobić? — zapytałem.

— Chcę być zupełnie sama.

Od tamtej nocy upłynęło wiele dni. Dzisiaj nie spełnia się żaden zmierzch — lecz kto przekracza, ten wie: linia i światło wciąż wiszą w naszej śmierci. I chociaż ona złożyła swoje dłonie w ofierze krzyku — trwa przy nim, jak przy moście rzuconym wśród mgieł. I nie ma żadnej pewności, że osiągając drugi brzeg, nie wstępuje w morze, w tę jedyną przystań, w której dojrzewa kolor czystej łzy.

A oczy jej będą wciąż niebieskie i usta ślepe jak sen.

Stanisław Żurek

PRZEJRZYJ KARTY KTÓRYMI GRASZ W TOTO-LOTKA

przejrzyj się w studni
jak przez dziurkę od klucza
popatrz na karty którymi grasz
w toto-lotka
i nie pokazuj ich
jeśli
nie liczysz na siebie

tylko w bajce o kopciuszku
życiu wystarczy trafić
na dobrą wróżkę
którą nazywasz szczęściem

ono sprzyja tym
co mają karty znaczone
i nie wykładają ich nigdy
na stół

Władysław Klępka

„PLENEROWY PEJZAŻ"

Fot. Bogdan Szewczyk

Ściągawka z alfabetu

GDY trzy lata temu w czasie egzaminu pisemnego z języka obcego odebrano kandydatowi na studenta UMCS ściągawkę okazało się, że zawierała ona zbiór podstawowych reguł gramatycznych tego języka, pracowicie zestawione wzory deklinacji oraz zestaw kilkudziesięciu wypracowań na przewidywane tematy. Komisja wysoko oceniając trud kandydata włożony w przygotowanie pomocy egzaminacyjnych wyraziła jednocześnie zaniepokojenie o poziom jego wiedzy. Na niekorzyść przyszłego studenta świadczyły nie tylko potężne rozmiary ściągawki ale także jej elementarny charakter.

W lipcu tego roku członkowie pewnej komisji egzaminacyjnej z najwyższym zdumieniem oglądali ściągawkę — kuriozum. Było to maksymalnie zwięzłe repetytorium z języka rosyjskiego, zawierające tym razem jedynie... alfabet rosyjski. Zestawiając te fakty można by wnioskować zarówno o postępie w dziedzinie sporządzania ściągawek jak i o widocznym regresie poziomu przygotowania kandydatów na studia. Przytoczone przykłady zaczerpnięte zostały z doświadczeń komisji rekrutacyjnych, działających na kierunkach „ścisłych". Języki obce być może mają prawo sprawiać kłopoty przyszłym matematykom i fizykom. Na kierunkach humanistycznych było jednak jeszcze gorzej. Okazało się, że przyszli filologowie i pedagodzy z najwyższym trudem przypominają sobie podstawowe wiadomości z rodzimej literatury. Prace pisemne świadczyły, że także formułowanie myśli, logiczne wiązanie faktów i wyciąganie wniosków oraz podporządkowanie języka wymogom składni i stylistyki polskiej stanowią dla absolwentów szkół średnich (legitymujących się często dobrymi i bardzo dobrymi ocenami na świadectwach maturalnych) trudność nie do pokonania. Przy tym wiedza o literaturze ogranicza się najczęściej do nazwisk twórców i tytułów ich dzieł oraz truizmów na temat danej epoki. Do nielicznych należą te prace, w których autorzy wychodzili poza banalne oczywistości i żałośnie konstruowane tzw. „własne zdanie". Zdumiewa a często przeraża niedojrzałość sądów ludzi, którzy osiągnęli przecież status dorosłości. Znikoma wiedza i paraliżująca nieudolność językowa prowadziły do odpowiedzi-karykatur.

Jeśli kilka lat temu polonistę wprawiało w zdumienie, że około połowa egzaminowanych uważa, iż Żeromski i Dąbrowska tworzyli w okresie pozytywizmu, to w tym roku przyszło mu usłyszeć, że Żeromski napisał, oprócz *Ludzi bezdomnych*, *Wesele* oraz *Popiół i diament* a najbardziej znanym opowiadaniem Prusa jest *Trylogia*, że Kasprowicz zasłużył się w literaturze dzięki *Sonetom krymskim* a bohaterem *Granicy* jest doktor Judym. W tym momencie załamany egzaminator rezygnował z pytania: kto napisał *Granicę*. A potem nie dziwił się już tak, gdy mówiono mu, że *Wesele* jest dramatem o powstaniu styczniowym i jego akcja toczy się w I połowie XIX wieku. Odpowiedź, że w dramacie tym Wyspiański pokazuje „charakterystyczną walkę chochołów" był skłonny uznać za niemal poprawną. Ze stoickim spokojem przyjmował do wiadomości, że Wokulski prowadził handel z Cesarstwem Bizantyjskim.

Wobec takich błędów rzeczowych pozornie mniejszą rangę wydają się mieć błędy ujawniające prymitywizm zarówno myślenia jak i języka kandydatów. Ilustracją mogą być choćby takie przykłady: „W *Dwóch teatrach* Szaniawskiego pokazany jest kawałek współżycia dyrektora ze swoją służącą"; „Leśmian był bardzo oryginalnym poetą, gdyż był cichym i skrytym"; „kołtun, gdy był sam chodził w bieliźnie albo coś takiego"; „Prometeusz za swój czyn został przywiązany do słupa i przebywał na słońcu"; „poeta wieszcz to taki, co porusza sprawy ludu, wprowadza stylizację gwarową i opiewa pracę na wsi"; „w wyniku powstania styczniowego tacy bohaterowie *Chłopów* jak Kuba i stara Jagustynka utracili ziemię"...

I pomyśleć, że kilka lat temu wstrząsem dla komisji egzaminacyjnej było, gdy jednego dnia dwukrotnie dowiedziała się że generał Bem był Murzynem. Czy można było przypuszczać wtedy, że nie jest to jeszcze kres nieuctwa? Obserwacje poczynione w czasie tegorocznych egzaminów wstępnych na kierunkach humanistycznych pokazują katastrofalny poziom wiedzy o literaturze i alarmująco niską kulturę języka. Są to fakty, których konsekwencje, z patriotycznych chociażby powodów, należy uświadomić sobie jak najprędzej.

I nie należy dziwić się poloniście, którego w trakcie egzaminacyjnych trudów porazi czasem myśl absurdalna: czy też za kilka lat kandydatom na studia nie będzie potrzebna ściągawka z alfabetu języka polskiego?

A może warto zastanowić się nad przyczynami obniżenia poziomu przygotowania kandydatów wybierających studia filologiczne? Kto ponosi za to odpowiedzialność, szkoła czy też sami kandydaci wybierający przyszły kierunek studiów niezgodnie z predyspozycjami i przygotowaniem?

A. K.

PATRZY CI Z OCZU NA TO WSZYSTKO

patrzy ci z oczu tyle
pejzaży ludzi zwierząt
i roślin tyle przedmiotów

w dzień słońce tak
patrzy ci z oczu że ledwie
czujesz
smak krwi
skaleczonej o promień

nocą tam
gdzie miała być twoja twarz
rośnie cień
ogarnia cię
i nic poza nim nie możesz zobaczyć
i nic poza nim nie możesz zrozumieć

a we śnie
przychodzi ojciec
patrzy ci z oczu i wiesz
że tylko
życie

i widzisz
maleńką mrówkę jak
patrzy ci z oczu na to
wszystko

Wiersze pochodzą z tomu, który ukaże się w przyszłym roku nakładem „Iskier". Publikujemy je w 19 rocznicę debiutu prasowego autora (19.08.1969). Z tej okazji koledzy składają Jubilatowi serdeczne życzenia.

Kamena str. 7

III SERIA „LUBELSKICH PREZENTACJI POETYCKICH"

Publikowane niżej wiersze pochodzą z tomików, które złożą się na trzecią serię „Lubelskich Prezentacji Poetyckich" przygotowywaną przez lubelski oddział Związku Literatów Polskich i Koło Młodych Pisarzy.

Adam W. Kulik

* * *

krążysz wokół mnie ze śmiechem
w którym dojrzała legenda i słowo: poprowadzę
lecz to ja cię biorę opustoszałą w połowie smugi
dobrze cię łapać jeszcze ciepłą
bardzo ciepła

cichy dzień nieruchomieje wywołany: jedyny
może nie ma w tobie nic prócz niego
może umiesz mnie od początku
bo oczy takie przytomne w śmiechu

tańczysz jakbyś miała się żegnać
jakby nam zostało niewiele dni
– kamienie szybujące nad wodą

na modrzewiowych schodach tańczysz z nieba
co stąpniecie bliżej ramion bliżej ziemi
zanim wrócisz przed wieczorem
napełnij chwilę: skromniejszą niż skupienie
pełniejszą od westchnienia pól

Janusz Klimecki

PRZESTRZEŃ WYMARŁA

Obrazy nakładają się na siebie Najtrudniej
opowiedzieć sens rzeczy głęboko ukrytej
w pamięci Jak w krzywym zwierciadle
odmiana treści jest pozorna W nas
wygodnie przebiega odbarwienie cieni
Wszystko co już wyblakło nie posiada kontrastów
wyraźnych Właściwości konturów nikt nie zapamiętał
Brak teraz argumentów w polemikach
wokół niuansów przedawnionych Czasem
ten brak jest dotkliwy jak obcięty palec
potrzebny w chwili gdy się przypomina
dłoni niesprawność Rujnuje krajobraz
analiza warstw z wnętrza wymarłej przestrzeni

Waldemar Żelazny

APOKALIPSA WEDŁUG MNIE

Przypuśćmy nawet że boga nie ma: do rezerwatu
odlatują dzwony Jeden za drugim Lecą
jak żurawie
spadają do góry A potem na dół W dół
na hiroszimę: samotność: plaża Czekają na wodę
a ona przyjdzie po nich I znów kołysanie
Widzisz:
obok mnie: wiejska dziewczyna Z twarzą ikony
boi się boga jak deszczu
a jednak płonie w niej stos A jednak pali w sobie
jakiegoś mężczyznę A ten mężczyzna Kto wie
może nawet giordano bruno
tak samo w morzu: jest ktoś kto uczy mówić
kamienie Jest ktoś... upozorujmy koniec świata
a boga
wybierzmy spośród siebie
nowego I dosyć
nie nawracajmy na dobrą drogę bo każda droga
jest dobra A dzwony? Dzwony niech lecą
i tak nie otworzy dzioba żaden
z nich

•

bo tak naprawdę: człowiek to bezludna wyspa
na wyspie kościółek Trochę za mały: bóg się nie zmieści
nocuje na łodzi Mówi: że ryby to stare kobiety
czasami tańczy: nie czułeś muzyki
a więc śmierć przyjdzie
jako tancerka

•

o dulcinea
palce nakłuwane drutem już tak nie bolą
nie jesteśmy sami Tancerka wlecze za sobą
pianino Ta wydłubana z oka delikatnie
łza
ćma muzyki na którą się czeka jak na rozbieranie
ta z malowideł edgara de gas

tak tak o mnie już nie ma w sobie
dzwoneczek tylko i światło naplute Zostało
gdy idę
powietrze się cofa Powoli odwykam
od siebie od ludzi i od łzy na której
powiesił się rudy van gogh

Wojciech Krawczyk

GOTYK

Zmarła ponownie zawoła na psa,
Gwizdnie cichutko –
Marzec się wyszczerzy
Księżycem zbutwiałym bez mała do cna;
Kopuła lęku gotykiem się zjeży.
Znów blizna gazu w ciemne ciało kuchni
Wrośnie o czajnik,
O metalu rechot
Nie idź, nie wstępuj głębiej w tkanki lutni...
Nie idź... W ten gotyk... W tę radość kaleką.

Władysław Klępka. „Autoportret"
Fot. Bogdan Szewczyk

Wacław Oszajca

JEGO TWARZ

na bizantyńskich mozaikach
masz wzrok imperatora
na barokowym krzyżu
ból zaciemnia ci oczy
i wykrzywia wargi
ze ścian żelbetowych
też patrzysz uważnie
smętnie i łagodnie
czemu się nie uśmiechniesz
jak Zeus jak Apollo

CZYM ONA JEST

może jest ona łupaniem orzechów
pozornie w pierwszej chwili
łupina zapada się w pustkę
a może jest ona jedzeniem brzoskwiń
pod chropowatą skórką słodki miąższ

niszcząc owoc odkryłeś jego tajemnicę

może i ona zostawia z nas
tylko łupiny i pestki

Urszula Jaros

PYTANIA

a gdy się już narodzi
nad nowym miękkim śladem
króliczy węch istoty
jej rozbudzony skowyt
ona poruszy wszystkich
nieznacznym wejściem obłym
w pole gdzie wy dla siebie
a ona za tym tropem
ta jeszcze pięcioletnia
ta już dojrzewająca

to jeszcze nie ta podróż
rana ran nie rozdrapie
pieszczota nie zmyje pieszczot
jeszcze będą się gryźć
usta by nie powiedzieć
jednego wyjaśnienia
tej która ciągle pyta

wtedy odpowie sama
przed świętym trybunałem
wron zesztywniałych z chłodu
stadem bezpańskich dzieci
starym zwiotczałym karłem
który przechodząc jęczy
„boże ja cię kochałem"
wtedy odpowie sama
ale to będzie zmierzch

Ciotka

Henryk Makarski

KIEDY Andrzej przekraczał bramę dzieciństwa, pierwszą osobą, którą spotykał — rzekomo przypadkowo, zupełnie przypadkowo — była jego matka. Rozmawiał z nią za każdym razem coraz krócej. Los wszystkich matek jest podobny, skazując je na starzenie się w samotności — wiedział o tym aż nadto, choć trudno byłoby dopatrywać się w jego pośpiechu choćby cienia premedytacji. Po prostu miał coraz mniej czasu na wszystko, bo coraz więcej ogarniał. Widział oczy matki ze smutkiem przypatrujące się, jak on, jej ukochany syn, coraz to skąpiej wydziela jej czas i miłość. Żal mu się wtedy zrobiło, że wówczas, gdy jeszcze miał tego czasu trochę więcej, wolał chodzić na jakieś bzdurne, szczeniackie zebrania zamiast pojechać do niej, kupić jej jakiś drobiazg, pogłaskać ją po siwych włosach, zagadać czule. Przecież starał się od czasu do czasu wpadać do Białej...

Ostatnio jednak za każdym razem zastawał tam ciotkę zanim nie wyprowadziła się do Szczecina. Nic w tym dziwnego ostatecznie by nie było, bo ciotek miał siedem, gdyby nie fakt, że za każdym razem była to ta sama ciotka, „ciotka-klotka", nazywana w rodzinie „przenośnym radiowęzłem" w uznaniu zasług, jakie posiadała w dziedzinie poufnej propagandy rodzinnej. Potrafiła ona w sobie tylko wiadomy sposób rozpowszechnić każdy serwis informacyjny w przeciągu kilku godzin po całym mieście. Miasto — nie miasto, 20 tys. mieszkańców, ale... Ciotkę-klotkę tolerowano w domu jego matki ze względu na otaczający ją nimb wykształcenia, uwieńczonego potrójnym doktoratem z historii, filozofii i łaciny, które to fakultety pochłonęła w żarłocznym tempie (spalając chyba nie wykorzystaną całkowicie energię seksualną) jeszcze przed wojną na uniwersytecie w Salzburgu wśród jodłujących tyrolskich alpejczyków — o czym przy każdej okazji wspominała, niby mimochodem.

Uważała się za autorytet we wszelkich sprawach tego ziemskiego padołu, taka zasuszona encyklopedia o zacięciu dydaktyczno-moralistycznym. Swoje perory wypowiadała tonem donośnym i afektowanym, unosząc oczy ku niebu, zasłuchana — ba! — niemalże oczarowana brzmieniem własnego głosu. Kiedy gwałtownie pukała do drzwi w domu matki (ojciec zmarł, gdy Andrzej był jeszcze dzieckiem), robiło się jakby luźniej. Dziadek — na przykład — raptem oświadczał, że musi pojechać do miasta w bardzo pilnej sprawie. Andrzejowi przypominał się w tym momencie nieodmiennie ten sam wierszyk Kraszewskiego „Dziad i baba", a ściślej rzecz określając — ów moment, kiedy to śmierć puka do drzwi. „Ciotka-klotka" przychodziła bardzo wcześnie i dlatego — zapewne — wychodziła bardzo późno, bolejąc nad tym, iż nie może przychodzić codziennie. Jej sopran koloraturowy o zabarwieniu dramatycznym, dźwięczał po całym domostwie niemal bez przerwy. Przycichał tylko na chwilę, żeby zaczerpnąć powietrza i w tych tylko momentach reszta domowników mogła otworzyć usta, aby przytaknąć jej skwapliwie. Wdawanie się w jakiekolwiek — drobne nawet — wymiany zdań z ciotką było szaleństwem, skazanym z góry na niepowodzenie. Ciotka-klotka bowiem za jedyną godną formę rozmowy uważała monolog przy świadkach. I tychże świadków potrzebowała, zdyscyplinowanych i milczących. Kiedy już tylko piała ochrypłe, chrząkała i przełykała ślinę, natychmiast wyciągała rękę w dramatycznym geście, dając im do zrozumienia, że mają milczeć i czekać, aż wróci do formy, co następowało zwykle po kilku minutach. Z równą swadą rozprawiała o strukturalizmie francuskim, co o rewolucji seksualnej. Mogła tak nieskończenie.

Na szczęście znali jej słaby punkt. Równie namiętną pasją ciotki-klotki oprócz gadania była turystyka. Andrzej — obdarzony najlepszą w tym gronie kondycją fizyczną — musiał się więc poświęcić dla dobra ogółu i zręcznie wpadłszy ciotce w słowo — w czasie przerwy na oddech — zaprosić na wędrówkę w nieznane. To „nieznane" było za każdym razem ta sama ścieżka wokół miasteczka, ale ciotka dawała się zaskoczyć i już po chwili z zadowoleniem wspinała się po stromej ścieżce, zarośniętej pokrzywą i ostrymi krzewami jeżyny. Wysiłek wspinaczki nie zniechęcał jej bynajmniej do mówienia, o nie! Ciotka była wytrawnym, niestrudzonym piechurem. Kiedy szli tak we dwoje, zmieniała tylko sposób rozmowy. Mianowicie — żądała od niego zwierzeń. Wynurzenia te natychmiast komentowała, z właściwą sobie przenikliwością natury filozoficzno-moralnej. Kategorycznie domagała się, aby zwierzenia były szczegółowe i intymne. A kiedy miała choćby cień wątpliwości co do dokładności relacji, kiedy podejrzewała Andrzeja, że coś przemilczał, zatarł czy wykręca się niedomówieniami — biada! Natychmiast rozstrzelała go [illegible] podchwytliwych pytań, zmuszając do całkowitego obnażania się przed nią.

Jeszcze jedną namiętnością ciotki-klotki była miłość bliźniego, a ściśle mówiąc — miłość uprawiana przez innych. Znacznie bardziej, niż zawiłości uczuć, interesowały ją tajniki życia seksualnego. Wyciskała z Andrzeja przykłady, a potem te wymuszone historie porównywała, klasyfikowała, mieszała ze scenami brukowych lektur, no i oczywiście komentowała, co dostarczało jej zapewne rozkoszy graniczącej z orgazmem. Z pewnością była to dla niej rozkosz największa i nieporównywalna, jako że zamarynowane dotąd dziewictwo (bez wątpienia!) nie pozwalało na analogie. Kiedy zaczęła go maglować dociekliwymi pytaniami natury seksualnej (oczywiście po odpowiednim wstępie teoretyczno-kulturowym) — Andrzej w pierwszej chwili osłupiał z przerażenia, ale potem — rozbawiony groteskowością sytuacji — postanowił udawać, że interesuje go jej ciekawość i że gotów jest życzliwie odpowiadać na interesujące ją kwestie. Tedy — by jej nie sprawić zawodu — jął opowiadać niestworzone historyjki, na poczekaniu zmyślone komiksy, ociekające seksem. Ciotka — o dziwo! — przyjmowała te wyssane z palca ekstrawagancje za dobrą monetę, słuchając uważnie, zachłannie, wzruszona do łez jego szczerością. Jej powaga podniecała go jeszcze bardziej, nie żałował więc pikantnych szczegółów. Im owe zwierzenia były pikantniejsze, tym większa szansa, aby ciotka nareszcie zamilkła — z tego zdawał sobie sprawę — przeżuwając w ciszy i skupieniu jego bajeczki. Jeśli przerywała mu na chwilę, to tylko po to, by uzupełnić jego relację zwierzeniami jednej ze swych koleżanek czy uczennic, wobec których odgrywała rolę zaufanej powiernicy, namawiającej do rozpusty.

Kiedyś — na przykład — opowiedziała mu (w najgłębszej tajemnicy oczywiście) o swojej najserdeczniejszej przyjaciółce, która — mimo posiadania doktoratu z filologii słowiańskiej — nie za bardzo mogła dogadać się z góralem-Słowakiem, za to doskonale zrozumieli się w łóżku. Koleżanka ta — po każdym dniu, a raczej każdej nocy — sławała ciotce szczegółową relację z rozmiarów i długości owych konwersacji, posługując się — rzecz jasna — szyfrem językoznawczym. Kiedy mówiła o powiększaniu się przyrostków, ciotka od razu wiedziała, że chodzi o pieszczoty wstępne. Koleżanka najbardziej lubiła nakładanie się na siebie i zlewanie członów morfemowych, co — zdaniem ciotki — było z jej strony dziwną lekkomyślnością, zważywszy na wątłość kształtów (43 kg) w porównaniu ze stukilogramowym góralem. Koleżanka jednak wyglądała jeszcze ponętnie, mimo swoich 45 lat i 10 miesięcy — co dokładnie wyliczyła ciotka — i ostatecznie można ją było zrozumieć.

Jeśli chodzi o ciotkę, to — jak wyznała — zdecydowanie woli etap powiększania się przyrostka, jako bezpieczny dla organizmu i społecznie nieszkodliwy. Zresztą — większość jej uczennic woli to samo. Przy tym nie omieszkała zapytać Andrzeja, co wolą jego przyjaciółki. Kiedy usłyszała, że raczej nakładanie się członów — nie posiadała się z rozczarowania. „A czy słyszałeś o francuskiej metodzie ustnej realizacji pieszczot?" — zagadnęła go, wprawiając w zakłopotanie. Czuł się nieswojo i jakoś dziwnie. Doprawdy, nawet w szkolnym kiblu, kiedy ćmił ukradkiem papierosy na dużej przerwie, nie rozmawiał z kolegami w tak głupkowaty sposób, jak teraz oto z tą wszechstronnie wykształconą i nienagannie ułożoną ciotką. Jej sprośna ciekawość poczęła go w końcu męczyć. Nie miał jednak na tyle silnej woli, by się z nią pokłócić, a zresztą ona jakby wyczuła, w jakim momencie należy zmienić temat i właśnie wtedy, gdy okręt jego cierpliwości już, już miał osiąść na zdradzieckiej mieliźnie — przesiadała się w biegu z francuskich pieszczot na francuskie malarstwo czy awangardę literacką, czym imponowała mu bezgranicznie. A po drugie — miał nadzieję, że zapozna go z jakąś fajną dziewczyną. Nie cierpiał słowa „fajna", ale ze wstydem przyznawał (tylko sam sobie w skrytości ducha, bo publicznie chciał być konsekwentnie purytańskim miłośnikiem pięknej polszczyzny), że trudno jest znaleźć równie bogaty treściowo odpowiednik tego słowa. Jakoż i jego nadzieje na dziewczęcą pociechę po utracie Joanny zostały spełnione. Ciotka przedstawiła go córce miejscowego weterynarza na zręcznie wyreżyserowanych odwiedzinach, niby to w sprawie kastracji dziadkowego świniaka. Ta wiotka, pryszczata dziewoja nie grzeszyła urodą, i — jak się Andrzejowi wydało — nie miała zamiaru grzeszyć czymkolwiek, przynajmniej w jego towarzystwie, co wprawiało ciotkę w skrajną rozpacz, jako że bezustannie zachwalała jego walory, a ta nic, absolutnie nie reagowała najbledszym nawet uśmiechem, słuchając bezmyślnie wywodów ciotki.

Mimo wszystko, Andrzej wspominał ciotkę-klotkę z sympatią. Rozczuliła go ostatecznie wyznaniem, że nigdy nie miał jej żaden mężczyzna, żaden nawet nie usiłował jej pocałować i oto ona umrze w nieświadomości seksualnej, nie skosztowawszy smaku męskich warg, nie mówiąc już o nabrzmiewaniu przyrostków czy rozkosznym nakładaniu się morfemów. Żaląc się, patrzyła na niego błagalnie, ale Andrzej nie przejawiał najmniejszej ochoty na uszczęśliwienie ciotki. Nawet, gdy dyskretnie podsunęła mu do obejrzenia zachodni magazyn porno, niby to gorsząc się, co też za bezeceństwa potrafią ludzie fabrykować. Po prostu nie mógł uwierzyć, że kobiecie takiego formatu, jak ciotka, mogło chodzić tylko o to jedno, tak prostackie w gruncie rzeczy doświadczenie. Zresztą nie wierzył również jej karykaturalnie wypaczonym sądom o ludziach; chyba, że chodziło o niego, zwłaszcza iż chwaliła go bez opamiętania i to mu schlebiało. Chociaż zdawał sobie sprawę z wątpliwej wartości tych komplementów, ale jakoś nie mógł się oprzeć próżnemu mniemaniu, że właściwie to on taki jest, gdy bliżej go ktoś pozna. Po takim natarciu komplementami od razu ciotka zyskiwała na wartości w jego oczach.

No a przede wszystkim gorąco dziękował ciotce-klotce za to, że zapoznała go z Małgorzatą. Dziękował tylko w myślach, nie chcąc zbytnio okazywać ciotce zadowolenia. Bo przecież nie uczyniła tego z bezinteresownej filantropii, poczciwej i rodzinnej uprzejmości. Ona tylko czekała na takie okazje, by móc uczynić zadość swemu zamiłowaniu do stręczycielstwa. Tym bardziej, że rozczarowała ją jego znajomość z córką weterynarza. Spodziewała się, że co najmniej kilka razy bezlitośnie zgwałci tę krościastą kozę, a potem jej — opiekuńczej ciotce-klotce — dokładnie opowie, co i jak... Miała nadzieję, że tym razem nastąpi pełna rehabilitacja jego donżuańskiej reputacji, że oboje będą się jej szczegółowo zwierzać — każde z osobna — co dostarczy jej podwójnej satysfakcji, no i że wreszcie ona będzie mogła zdalnie sterować rozwojem seksualnych wydarzeń, pasjonującą przygodą.

„Źle się bawisz, chłopcze, brzydko..." — powiedział sam do siebie po jednym z takich groteskowych seansów seksualnego gadulstwa. Miał jakieś niejasne przeczucie, że to igranie z ciotką zakończy się dla niego katastrofą, że zostanie ukarany — przez los, oszukaną ciotkę czy też przez samego siebie? Że jeszcze nie raz będzie go po nocach straszyć jej widmo, zacierające radośnie ręce.

Otóż stało się to w pewien deszczowy wieczór, kiedy Andrzej siedział bezpłodnie nad pustą kartką białego papieru. Pukanie. Podbiegł do drzwi, wściekły na tego kogoś, że puka — ba! — głośno wali w drzwi w najmniej odpowiedniej chwili.

— Przyprowadziłam ci dziewczynę! — zadudniła ciotka-klotka. — Młodziutką dziewczynę... — dodała z chytrym uśmieszkiem. — Prawdę mówiąc, to masz szczęście, że ochlapał nas błotem samochód, więc musiałyśmy wstąpić do ciebie, aby jakoś się ochędożyć, mój skarbie! — dodała zaraz z wyniosłą niezależnością, mrugając do dziewczyny żeby przypadkiem nie pomyślał, że specjalnie tu przyszły. — Masz szczęście, masz szczęście mój drogi... — zaczęła pieśń pochwalną na cześć Małgorzaty, opiewając jej wdzięki fizyczne i duchowe, gładząc ją przy tym po spłonionej twarzyczce tak, jak gładzi handlarz klaczkę przed sprzedaniem. A potem z kolei zaintonowała panegiryk na cześć Andrzeja, podniecając się bardzo zawoalowanymi aluzjami, które jej samej widocznie dostarczały niezdrowych ale rozkosznych podniet. — Reasumując, jest to kawał drania! — ciotka-klotka polizała go porozumiewawczym spojrzeniem, cieplutkim, tkliwym, ale zarazem niezależnym, dając mu odczuć swoją troskliwość i obleśne pragnienie, aby jak najszybciej przeszedł na ćwiczenia praktyczne, opatrzone przez nią kryptonimem „szyfr językowy".

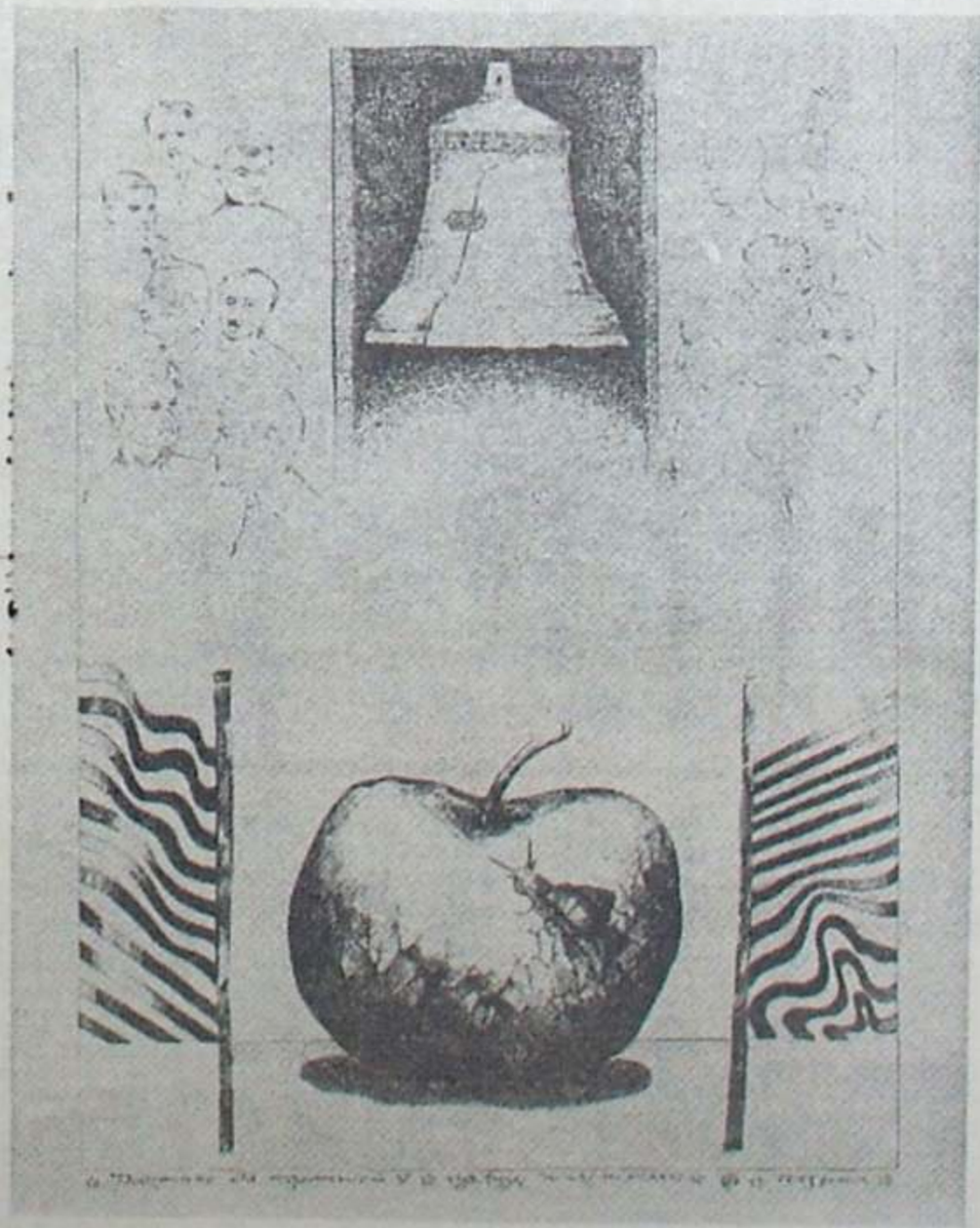

Fot. Bogdan Szewczyk

Władysław Klępka. „Fatum"

(Fragment opowiadania z cyklu „Żywot człowieka poczciwego").

Gra o wybór

PEJZAŻ nowej powieści J. Andermana przypomina scenerię opowiadań M. Nowakowskiego. Jest to ten sam krajobraz obskurnych knajp, tanich barów mlecznych, zakisłych poczekalni dworcowych i ludzi z marginesu — drobnych pijaczków, pomyleńców, prostytutek, wykolejonych artystów, zmęczonych przechodniów. Bohater to młody poeta, jednocześnie dziennikarz, równie jak ludzie z którymi się spotyka nieustabilizowany, bez własnego kąta, nocujący na dworcu lub przygodnie u znajomych, wędrowiec „na szlaku". Pewien rytm regularności nadają jego wędrówce wizyty w redakcji, której jest etatowym (choć przypuszczamy: nie na długo) pracownikiem. Postać, przypominająca zatem nieco wędrującego poetę Stachury i jednocześnie diametralnie od niej różna. Podobnie jak inny jest mimo zewnętrznych podobieństw, wykolejony świat Andermana od świata miejskiego folkloru M. Nowakowskiego.

Już w swej pierwszej powieści Anderman, operując charakterystycznymi dla wspomnianych autorów elementami poetyki, przetworzył je w nową jakość, dając własną niezmiernie ciekawą i płodną formułę fabularną powieści. O odmienności zadecydowała swoista perspektywa oglądu świata. Ona to sprawiła, że pisarstwo Andermana jest odczytywane jako jedna z najciekawszych propozycji prozatorskich młodego pokolenia.

A świat w obu powieściach pokazany jest z perspektywy owego bohatera — wędrowca, którego status społeczny i kulturowy odznacza się swoistym stanem niedopełnienia. Przejdźmy do jego bliższej charakterystyki, mając na uwadze ostatnią powieść. Jest to, jak się rzekło, młody inteligent, jednocześnie postać niedookreślona jeśli idzie o biografię, środowiskowo luźno powiązany z kręgiem tzw. „cyganerii artystycznej". Słowem samotnik, tramp, człowiek nigdzie nie zakorzeniony, który całą swą świadomą egzystencję poświęca na poszukiwanie wartości określających sens ludzkiego życia i decydujących o wyborze określonej postawy życiowej.

Poecie Stachury, by osiągnąć stan owego błogiego poczucia spełnienia własnej egzystencji wystarczy już postawa elocharda, wagabundy, który w ucieczce od cywilizacji na łono natury znajduje autentyczną wolność i spełnienie własnego „ja".

Bohater Andermana jest bardziej skomplikowany. Krąży po omacku w chaosie zdarzeń, przypadkowych spotkań, codziennych doświadczeń. Ów symboliczny „everyman", jako że nie posiada imienia i nazwiska, nawet nie ucieka jak bohater Stachury — nie stać go na taki gest. Raczej „łazi", gnuśnie się snuje w więzieniu miasta i jego obrzeży. Jest przy tym paradoksalnie aktywny i bierny. Aktywność polega na reporterskim, niemal dokumentalnym zapisywaniu rozmów, monologów, czasem strzępów urwanych zdań; bierność zaś na zajmowaniu postawy wyłącznie obserwatora, kogoś, kto dystansuje się wobec innych ludzi i reprezentowanych przez nich postaw. Doskonale uwidacznia to technika narracji. Każda z sytuacji jest prezentowana w dwojakim aspekcie: podmiotowym i przedmiotowym. Najpierw narratorem jest sam bohater, po czym następuje narracja z perspektywy trzecioosobowej, gdzie ten sam bohater pokazany jest jakby z cudzego punktu widzenia, uwydatniającego jego bierny, przedmiotowy sposób reagowania na rzeczywistość.

Sytuacja narracyjna symbolizuje zatem sytuację egzystencjalną bohatera. Charakterystyczny paraliż woli, zawieszenie aktu wyboru, deklaracji własnej postawy i własnego systemu wartości. Nie jest to jednoznaczne z eskapizmem i oportunizmem. Owa tytułowa „gra na zwłokę" między aktywnością a biernością ma zgoła inne uzasadnienie. Sądzę, że jest nim swoisty rodzaj maksymalizmu etycznego, zbliżony do moralnej krucjaty Wojaczaka. Wędrowiec Andermana znajduje się w takim punkcie biografii, w jakim pozostawał nieustannie podmiot liryczny „Innej bajki". To stan, w którym bohater posiadł wiedzę negatywną i wiedząc, co może odrzucić, z jakimi systemami wartości nie może się identyfikować — cały wysiłek kieruje na poszukiwanie tego, co chciałby zaakceptować. Stąd jego uporczywa wędrówka, która jest dosłownym przemieszczaniem się z miejsca na miejsce i metaforycznym błądzeniem w poszukiwaniu tożsamości.

Środowiska, które ów tramp penetruje nieprzypadkowo przypominają świat lumpów Nowakowskiego. Oznacza to, że poza sferą jego zainteresowań znajduje się region egzystencji ustabilizowanej. Interesują go ludzie, którzy jeszcze się szamotają, których dręczą obsesje (zwariowany astronom, artysta rzeźbiarz — twórca happeningów w hali fabrycznej), a także przypadki kalekie, na granicy normalności psychicznej (dróżniczka — prostytutka, kobieta w barze). Inaczej niż w opowiadaniach Nowakowskiego, gdzie ludzie tego rodzaju są przede wszystkim pretekstem do obserwacji zachowań jednostki w określonym systemie kulturowym, w prozie Andermana ich postawa stanowi układ odniesień dla dręczących bohatera pytań o granice wolności.

Kolejni napotykani ludzie prezentują jakby własny wariant filozofii życiowej, który wędrowiec Andermana bardzo uważnie z reporterską dokładnością odtwarza, sam wciąż pozostając z boku. Bowiem i tu nie znajduje takich wzorów postępowania życiowego, takiej koncepcji egzystencji wolnej i autentycznej, którą byłby w stanie przyjąć za swoją. Na tym polega ów maksymalizm etyczny. Jest to perspektywa ciągłego niepokoju, pytań jak żyć, by być w zgodzie z własnym sumieniem, z wewnętrznym poczuciem wolności. Perspektywa w równym stopniu twórcza, bo zmuszająca do ciągłego ruchu, do dalszych poszukiwań — co destrukcyjna, bo paraliżująca wolę ostatecznego wyboru i powodująca bezcelowe błąkanie się niczym mityczny heros w wędrówce za mirażem raju utraconego. W takim kontekście reporterski zawód bohatera jest literackim chwytem, racjonalizującym symboliczny podtekst jego egzystencjalnej sytuacji. Sytuacji, w której napięcie między pragnieniem wyboru własnej zasady życiowej i niemożnością jego dokonania, owa „gra na zwłokę", określająca stan ciągłego niepokoju egzystencjalnego jednostki, jest jedyną wartością, którą, jak się zdaje, bohater Andermana byłby skłonny zaakceptować.

Dorota Mazurek

Janusz Anderman „Gra na zwłokę", Wydawnictwo Literackie 1979.

NOTUJEMY

● Z dużym „poślizgiem" trafił na półki księgarskie tom poezji Dominika Opolskiego pt. „Poczekalnia". Książka wydana przez Młodzieżową Agencję Wydawniczą datowana jest na rok 1978. Bilans wydawniczy lubelskiego środowiska młodoliterackiego za rok ubiegły zamyka się zatem liczbą 15 (a nie, jak podawaliśmy poprzednio: 16) pozycji książkowych.

● Zarząd Wojewódzki Socjalistycznego Związku Studentów Polskich w Lublinie ufundował nagrody dla autorów książek debiutanckich odznaczających się najwyższymi walorami ideowymi i artystycznymi. Do nagród kandydowały pozycje wydane w roku 1978 przez autorów z makroregionu lubelskiego. W dziale prozy nagrodę otrzymał Zbigniew W. Fronczek za powieść „Tam, skąd pociągi odchodzą rzadko a może wcale" (Wyd. Lubelskie). W dziale poezji nagrodzono tomy Tadeusza Kwiatkowskiego-Cugowa „U drzwi moich płomień dalekiego ogniska" (Wyd. Lubelskie) i Krzysztofa Paczuskiego „Polonez z różą w gardle" (ZLP Lublin, II seria „LPPP"). Wysokość każdej z nagród: 5000 zł. Nagrody ZW SZSP za debiut przyznawane będą co roku.

● W maju br. utworzono w Kole Młodych Pisarzy przy ZLP sekcję tłumaczy. Jest to pierwsza tego typu sekcja w kraju. Przewodniczącym wybrany został Tomasz Chmielik.

● Ukazał się kolejny, trzeci już tom poezji Waldemara Michalskiego „Głosy na wersety" (Wyd. Lubelskie 1979, s. 72.). Trzeci tom wierszy wydał także Henryk Kozak. Nosi on tytuł „Chwila" (Wyd. Lubelskie 1979, s. 56).

● KKMP przy ZG FSZMP i Wydawnictwo Lubelskie wydały tom poezji Stanisława Łukowskiego „W imię własne" (Lublin 1979, s. 46).

● W dniu 28 maja br. w gmachu Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie odbyła się sesja naukowa poświęcona literaturze na Lubelszczyźnie w okresie 35-lecia. Organizatorami sesji byli: Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. H. Łopacińskiego, Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich, Związek Literatów Polskich oddział w Lublinie i Zakład Literatury Współczesnej IFP UMCS. Referaty wygłosili: doc. dr hab. Alina Aleksandrowicz, doc. dr hab. Jerzy Święch, dr Anna Nasalska, dr Józef Zięba, mgr Waldemar Michalski i mgr Bogusław Wróblewski. Biblioteka Wojewódzka zapowiada wydanie książki zawierającej wygłoszone referaty.

● 30 maja br. rozstrzygnięty został III Konkurs Literacki „O Nagrodę Lubelskiego Koziołka" organizowany — jak co roku — z inicjatywy KMP ZLP przy współpracy ZW SZSP i WDK w Lublinie, tym razem pod hasłem „Życie — praca — twórczość w 35-leciu PRL". Jury w składzie: Anna Kamieńska (przewodnicząca), Ziemowit Fedecki, Bogusław Wróblewski i Bohdan Zadura przyznało w dziale poezji pierwszą nagrodę Pawłowi Gembalowi, dwie drugie nagrody Urszuli Jaros i Waldemarowi Żelaznemu, trzecią Dominikowi Opolskiemu. Przyznano także pięć wyróżnień. W dziale prozy pierwszej nagrody nie przyznano. Pozostałe otrzymali w kolejności: Tadeusz Kwiatkowski-Cugow, Waldemar Draś i Jerzy Misiec.

● W dniach 25—28 czerwca br. odbyła się w Puławach VI Lubelska Biesiada Literacka. O bogatym programie Biesiady piszemy osobno. W rozstrzygniętym w czasie Biesiady konkursie wyróżniono m. in. opowiadanie Henryka Makarskiego, którego fragment publikujemy.

● W pierwszej połowie lipca br. odbywał się w Myślcu k. Nowego Sącza „KRAM" artystyczny młodzieży. Środowisko lubelskie reprezentował Wiesław Kałabun.

● W dniach 6—15 sierpnia odbywała się w Białce k. Parczewa „Warsztaty Twórcze" amatorskiego ruchu artystycznego organizowane przez Zarząd Wojewódzki Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. O ich przebiegu poinformujemy obszerniej w następnym wydaniu „Źródeł".

Sławomir Myk

PROŚBA

Ja
Sławomir Krzysztof Myk
herbu: Kufel
hrabia: na pięciu zamkach i licznych włościach
w przyszłości: prof. dr hab. w dziedzinie
języknawstwa
zainteresowania: film, sport, młoda poezja
lubelska, alkohol, kobitki,
nikotyna
wnoszę przed Sąd
prośbę (przez duże Ę)
aby wreszcie zebrali się wszyscy zegarmistrze
zatrzymali wszystkie zegary i zegareczki
i uszczknęli dla mnie
chociaż jedną jedyną sekundę
z naszego sprinterskiego czasu
(niechaj to będzie nawet czas piątego wymiaru)
ponieważ
wyżej wymieniony nie zdąża
pocałować w usta swojego przyjaciela
a pocałunek trwać powinien
pół godziny i jedną sekundę

Władysław Klępka. Z serii „Podzwonne dla wspomnień"

Fot. Bogdan Szewczyk

VI LUBELSKA BIESIADA LITERACKA

TRADYCYJNA już Biesiada Literacka organizowana rokrocznie przez Lubelski Ośrodek Klubu Młodych Pisarzy działający pod patronatem ZW ZSMP tym razem odbyła się w Puławach w dniach 26—28 czerwca br. Po raz pierwszy jednak rozpoczął ją mecz piłkarski odbyty na boisku „Wisły" Puławy pomiędzy reprezentacjami środowiska literackiego Lublina i „Reszty Kraju". Mecz był niezwykle dramatyczny i toczył się podczas ulewnego deszczu w atmosferze grzmotów i błyskawic. Zakończył się zwycięstwem Lublina w stosunku 8 : 6, pomimo iż do przerwy wynik brzmiał 2 : 5. W celach kronikarskich odnotujmy skład „literackiej" reprezentacji Lublina: T. Zieniewicz, R. Borkowski, W. Łaszkiewicz, P. Gembal, S. Aleksandrowicz, B. Wróblewski, W. Żelazny, S. Żurek, J. K. Misiec oraz Z. W. Fronczek, który był kapitanem drużyny i najlepszym zawodnikiem na boisku. W zespole przeciwników wyróżnił się Jan Tulik z Krosna, grający w bramce.

Wieczorem, w trakcie uroczystego otwarcia Biesiady, puchar dla zwycięskiej drużyny na ręce kapitana wręczył wiceprzewodniczący ZW ZSMP, Mieczysław Karczmarczuk. O życiu literackim w Lublinie w okresie 35-lecia PRL mówił następnie Józef Zięba, a z kolei Waldemar Łaszkiewicz przedstawił historię i dorobek Lubelskiego Ośrodka Klubu Młodych Pisarzy, który obchodzi w br. 15-lecie działalności należąc przez cały czas do najaktywniejszych w kraju. W kończącym pierwszy dzień mityngu poetyckim największe wrażenie wywarł na uczestnikach występ Dominika Opolskiego.

Drugi dzień Biesiady był bardzo pracowity, zaczął się spotkaniem z redakcją „Nowego Wyrazu", którą reprezentowali: Andrzej Zieniewicz i Lech Isakiewicz, następnie Waldemar Michalski omówił poezję lubelską w latach 1944 — 65, natomiast Bogusław Wróblewski od roku 1966 do 1979. Z kolei redaktor „Życia Literackiego", Marek Sołtysik mówił o problemach narodu w prozie najmłodszej. Wieczorem odbyło się spotkanie warsztatowe prowadzone przez Bohdana Zadurę i Andrzeja Zieniewicza.

Trzeci, ostatni dzień Biesiady, zaczął się od spotkania jej uczestników z przedstawicielami Urzędu Wojewódzkiego i ZW ZSMP. Następnie rozstrzygnięty został III Konkurs Literacki „Lubelszczyzna — Młodzież — Praca — Region". A na zakończenie tradycyjny Turniej Jednego Wiersza wygrał Piotr Czarnecki.

Reasumując należy stwierdzić, iż Biesiada Literacka to niewątpliwie impreza pożyteczna i potrzebna aktywnemu środowisku młodoliterackiemu Lublina. Służy ona nie tylko prezentacji własnej twórczości, wymianie doświadczeń, pogłębianiu wiedzy literackiej oraz znajomości spraw warsztatowych, ale jednocześnie pozwala weryfikować postawy twórcze wobec odbioru społecznego w trakcie spotkań autorskich organizowanych podczas Biesiady w terenie. Służy także integracji środowiska młodoliterackiego.

Stanisław Żurek

ZSMP

Kolumny zredagowali: Zbigniew W. Fronczek, Bogusław Wróblewski, Stanisław Żurek. Adres dla korespondencji: 20-078 Lublin, ul. 1 Armii Wojska Polskiego 3. Komisja Kultury ZW ZSMP

Myśl polska dla świata

Dokończenie ze str. 1

li w uroczystościach oficjalnych i imprezach towarzyszących, formułowali nowe postulaty i wygłaszali apele.

Preliminaria

W niedzielę, 15 lipca, od rana do punktu informacyjnego Kongresu usytuowanego w warszawskim hotelu „Forum" przybywają goście z całego świata. Prof. Hieronim Kubiak, dyrektor Instytutu Badań Polonijnych UJ, doskonale spełnia rolę gospodarza i głównego realizatora założeń Kongresu przy pomocy zespołu asystentów i pracowników krakowskiego „Orbisu". Wieczorem podczas kolacji w hotelowej restauracji informuje wyborną angielszczyzną o technicznych stronach programu (merytoryczne podano w materiałach kongresowych). Następuje też wzajemna prezentacja uczestników. Autoprezentacja trwa długo, ale utrzymuje zebranych w stanie najwyższego zainteresowania. Padają nazwiska i nazwy: Andrzej Gawroński-Armadale, Australia; Karol Kadłubiec — Mistrzowice, Czechosłowacja; Karol Krótki — Edmonton, Kanada; Henryk Dymsza — Greenwich, Stany Zjednoczone; Andrzej Karcz — Barquisimeto, Wenezuela; Stanisław Olszowski — Middlesbrough, Wielka Brytania... ks. dr Piotr Taras — Lublin, Polska. Jak policzyliśmy później, najliczniej byli reprezentowani przybysze z następujących krajów: USA — 63, Kanady — 13, Francji — 9, Wielkiej Brytanii — 7.

Dzień pierwszy

W pięknej Sali Warszawskiej Pałacu Kultury i Nauki prof. Jan Szczepański otwiera obrady Kongresu. W prostych, tchnących mądrością słowach podkreśla jedność polskiej nauki i kultury, niezależnie od tego, gdzie ona powstaje i jest rozwijana. Cała gromada kamerzystów telewizyjnych i fotoreporterów utrwala oblicza licznych znakomitości polityki i nauki zgromadzonych w sali. Mój sąsiad szepce: „dziennikarze to grupa zawodowa o najszybszym przyroście naturalnym i jednakowo wścibska w całym świecie".

Zagadnienia więzi Polski z wychodźstwem omawia prof. Władysław Markiewicz, wiceprezes Towarzystwa „Polonia". Prof. Witold Nowacki, prezes PAN, składa uczestnikom Kongresu życzenia owocnych obrad. W imieniu gości zagranicznych za serdeczne przyjęcie dziękuje prof. Helena Znaniecka-Łopata z Chicago — córka wybitnego socjologa, Floriana Znanieckiego. W imieniu Polonii kanadyjskiej dziękuje z sali prof. Edouard Kurstak pracujący na wydziale medycznym Uniwersytetu w Montrealu. Prof. Bogdan Suchodolski w obszernym referacie omawia tendencje rozwojowe nauki polskiej w XIX i XX wieku na tle nauki światowej.

W czasie przerwy prof. Adam Lis z USA w pasjonujący sposób opowiada w kuluarach o porażkach współczesnej medycyny w walce z rakiem. Prof. Czesław Rodkiewicz z Kanady mówi o swoich osiągnięciach zawodowych inżyniera i zainteresowaniach politycznych. Prof. Zdzisław Wesołowski z Florydy dzieli się swoimi doświadczeniami z zakresu teorii organizacji i kierownictwa, wychwalając zasługi polskiego uczonego, Karola Adamieckiego. Doc. Władysław Kucharski (z Lublina) taktownie przesuwa tok rozmowy na płaszczyznę programów kierowanego przez niego Centrum Polonijnego i potrzeb stypendialnych lubelskich asystentów.

Prof. Janusz Górski, minister Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, w swoim referacie bardzo rzeczowo mówi o rozwoju funkcji badawczych i kształceniowych szkolnictwa wyższego w Polsce w XX wieku. Nie pomija trudności, z którymi boryka się polska nauka i uczeni. Dowcipnie zauważa, że gdy po wojnie podania adresowane do ministra dotyczyły głównie wyposażenia w elementarne przedmioty osobistego użytku, obecnie dotyczą one talonów na wyższej klasy samochody. Miło brzmią dla uszu lubliniaków ciepłe słowa o rozwoju UMCS-u, adresowane wprost z poufałą sympatią do siedzącego na sali rektora uczelni, prof. Wiesława Skrzydły. Prof. Jan Szczepański, czołowa osobistość Kongresu, w swoim wystąpieniu charakteryzuje rolę nauki w odbudowie i rozwoju Polski po odzyskaniu niepodległego bytu państwowego.

Wieczorem w siedzibie Towarzystwa „Polonia" — uroczyste spotkanie: gospodarzem jest Tadeusz W. Młyńczak, prezes Towarzystwa, zaś najbardziej popularną postacią spotkania — prof. Henryk Jabłoński, wokół którego skupia się liczna grupa rozmówców, dziennikarzy i fotoreporterów. Nadzwyczajną adoracją panów cieszą się nieliczne panie błyszczące w swych wytwornych wieczorowych toaletach. Red. Ryszard Badowski z TV w swoim żywiole: bowiem niemal każdy z uczonych zasługuje na pióro biografa i rozmowę w studiu telewizyjnym. Po nieco z zasady sztywnych sesjach naukowych typowe kuluary wielkiego Kongresu — luźne rozmowy, nowe kontakty, stare przyjaźnie, miłe uśmiechy, wymiana wizytówek, wspólne toasty, pamiątkowe zdjęcia...

Dzień drugi

Rano czterema autokarami podążamy autostradą Warszawa—Katowice do Krakowa — miejsca dalszych obrad Kongresu. Przewodnik pasażerów autokaru nr 2 inteligentnie komentuje polskie realia związane z mijanymi miejscowościami. Przychodzi mu w sukurs inżynier Michał Hłasko (stryj znanego pisarza, Marka), kierownik włoskiego przedsiębiorstwa organizacji pracy w Paryżu. Próbuje porwać pasażerów autokaru swoim kabaretowym temperamentem piosenkarza, recytatora i gawędziarza. Nic z tego nie wychodzi — pora zbyt wczesna na program kabaretowy — ludzie kontynuują pogwarki z sąsiadami. Mój sąsiad, biznesmen z Chicago, Łopata, opowiada o sukcesach swojej rodziny w Ameryce. W autokarze krzyżują się opowieści o splątanych losach Polaków w świecie.

I oto osiadamy w hotelu „Cracovia", który od początku do końca naszego pobytu będzie czarował gościnnością, wspaniałą kuchnią, nadzwyczaj sprawną obsługą i, jak wieść niesie, cenami obliczonymi na możliwości ludzi zdecydowanie zamożnych.

Otwierając II Sesję Plenarną w dostojnej auli UJ, rektor tej uczelni, prof. Mieczysław Hess, mówi: *Troską nas wszystkich jest zachowanie i pomnożenie wielkości spuścizny kulturalnej narodu polskiego. Dorobek ten tworzą wszyscy Polacy, niezależnie od miejsca ich zamieszkania.* W odczytanym referacie chorego prof. Gerarda Labudy z Poznania ukazano, w jaki sposób nauka polska reprezentowana przez polonijnych uczonych stawała się równorzędnym partnerem przodujących ośrodków naukowych świata. Doniośle brzmi apel prof. Tadeusza Gromady z Nowego Jorku o udział Polonii w odnowie Krakowa: *Aby powstrzymać zniszczenie i przywrócić pierwotne piękno tej perle w koronie kultury polskiej, konieczna jest pomoc wszystkich, a szczególnie tych, dla których stanowi ona symbol polskości i własnej przeszłości.* Prof. Gromada, slawista, działacz Związku Podhalan w USA, góral z pochodzenia, zawołany wykonawca krzesanego, staje się jednym z najpopularniejszych uczestników Kongresu. *Niby górol* — mówią — *a jak dobrze życzy Krakowowi!*

Pracowity dzień drugi wieńczy piękne przedstawienie teatralne „Fantazego" Słowackiego.

Dzień trzeci

Jest to przede wszystkim dzień „wielkiej nauki". W czterech sekcjach: nauk społecznych i humanistycznych, przyrodniczych i medycznych, ścisłych oraz technicznych — referaty ukazujące osiągnięcia Polaków na różnych kontynentach i w różnych dziedzinach wiedzy. W całości ukażą się one w pokaźnym tomie, toteż wspomnę tylko o niektórych.

Prof. Gabriela Makowiecka z Madrytu plastycznie odmalowuje percepcję polskiej literatury przez jej hiszpańskich studentów, zaś prof. Jan Myciński zachwyca zebranych swoją opowieścią o najbardziej interesujących składnikach polskiej kultury z punktu widzenia słuchaczy prowadzonej przez niego we Francji katedry polskiej (historii, kultury, sztuki, geografii, języka). Prof. Michael Mikoś z USA wykazuje, że sztuka znanego dramaturga amerykańskiego O'Neilla „Pożądanie w cieniu wiązów" powstała pod wpływem „Chłopów" Reymonta. Prof. Sebastian Matczak z Nowego Jorku wyjaśnia założenia nowej filozofii — unifikacjonizmu mającego harmonijnie połączyć elementy myśli Wschodu i Zachodu. Dr Stanisław Portalski z Wielkiej Brytanii przedstawia zasługi polskich matematyków podczas II wojny światowej przy odkryciu tajemnicy niemieckich szyfrów wojskowych. Profesor gemologii, Stanisław Mazirek, główny specjalista wenezuelskiego ministerstwa górnictwa od oceny kamieni ozdobnych, budzi „diamentową gorączkę" wśród zebranych egzotyczną opowieścią o złożach, wydobywaniu i wykorzystywaniu diamentów w tym kraju. Docenci z Charkowa, bracia Edward i Zygmunt Uteuszowie, ukazują skale trudności i głębie myślowe związane z modelowaniem cybernetycznym. Wyróżniający się francuską elegancją prof. Stefan du Chateau z Paryża, światowej sławy architekt polskiego pochodzenia (z Hrubieszowa), założyciel i prezes Instytutu „Le Ricolais" w Paryżu, twórca wielu nowatorskich rozwiązań konstrukcyjnych, charakteryzuje i ilustruje filmem twórcze przyczynki strukturalne w rozwoju form architektury współczesnej.

W godzinach południowych w krakowskim Ratuszu prezydent miasta, Edward Barszcz, z polską gościnnością podejmuje uczestników Kongresu. Po oficjalnych przemówieniach przy lampce wina wartko toczą się kuluarowe dysputy. Wielkim powodzeniem cieszy się prof. Czesław Bieżanko, wybitny entomolog z Brazylii, posiadacz imponującej kolekcji owadów, sędziwy uczony zadziwiający wszystkich swoją żywotnością. Równie sędziwy socjolog nowojorski, prof. Teodor Abel (najstarszy doktorant Znanieckiego — prof. Szczepański był jego doktorantem najmłodszym), snuje wspomnienia o swej rodzinnej Łodzi. Chwali urodę i gospodarność Polek, a zwłaszcza swej żony Teodory, wspaniałej kobiety i wybitnego psychologa.

Tuż po przyjęciu kolejna atrakcja — otwarcie wystawy polskich i obcojęzycznych wydań polskiej książki naukowej. Mała sala Muzeum Historycznego z trudem mieści przybyłych. Zainteresowanie książką ogromne: sypią się zamówienia, pani Maria Grunwald prowadząca wystawę, z wypiekami na twarzy ocenia rozmiary „strat", prof. Kubiak wypisuje dedykacje na pachnącej jeszcze farbą drukarską książce „Polonia wobec niepodległości Polski". Pan Hłasko nie może sobie poradzić ze stosem zakupionych książek: to *wszystko dla Mickiewiczowskiej Biblioteki w Paryżu* — powtarza.

Wieczorem doskonała atmosfera Konferencji przenosi się do Zamku w Pieskowej Skale. Gospodarz, prof. Szczepański, w imieniu Polskiej Akademii Nauk zaprasza na „spotkanie koleżeńskie". Emanujące historią mury, piękne otoczenie, nastrojowa muzyka, doskonałe potrawy i wyborne trunki najkrócej charakteryzują ten punkt programu.

Dzień czwarty

Głównym akcentem przedpołudnia jest wmurowanie kamienia węgielnego pod nowe obiekty Kolegium Polonijnego im. K. Pułaskiego. Oficjalne mowy polityków i uczonych. W imieniu Polonii amerykańskiej przemawia Vera von Viren Garczyńska, pedagog, działaczka polonijna, nauczycielka w nowojorskiej szkole policyjnej. Jej wcześniejsze wystąpienie w dyskusji, próbujące wykazać nie tylko zarobkową przewagę amerykańskiej policji nad ludźmi nauki, staje się przysłowiowym włożeniem kija w mrowisko.

W drodze powrotnej z Przegorzał, gdzie usytuowano Kolegium, rozmawiam z architektami. Prof. S. du Chateau stwierdza: *Nie wiemy, czy uda się uratować Wenecję, ale nie możemy mieć takich wątpliwości w stosunku do Krakowa.* Zaś architekt Stanisław Panasewicz z Wenezueli dodaje: *Moje miasto Caracas jest piękne, ale anonimowe, natomiast w Krakowie istnieje społeczna więź mieszkańców z miastem.*

Tego dnia obrady toczą się w sekcjach regionalnych — europejskiej, północnoamerykańskiej, południowoamerykańskiej oraz australijskiej, azjatyckiej i afrykańskiej. Mnóstwo ciekawego materiału faktograficznego, wiele bystrych obserwacji, postulaty przezwyciężenia propagandy antypolskiej i antypolonijnej, echa doniosłego znaczenia wyboru Polaka na Papieża — dla odrodzenia etnicznego Polonii świata i rozwoju jej organizacyjnej zwartości.

Obiad w towarzystwie prof. Edwarda Zarudzkiego z Danii i prof. Jana Soleckiego z Kanady. Pierwszy domaga się w swych dociekaniach naukowych szacunku dla zwykłej wody zdatnej do picia. W pracach dotyczących geofizyki morskiej utrzymuje, że ludzie szaleją w pogoni za naftą, zapominając o zależności ich losów od czystej wody pitnej. Drugi, slawista i ekonomista w jednej osobie, człowiek o przebogatej, barwnej biografii obieżyświata, jest cenionym ekspertem w dziedzinie przemysłu drzewnego. Dla Polski opracował ekspertyzę dotyczącą budowanej w Kwidzynie fabryki celulozy.

Dzień czwarty zamyka koncert fortepianowy prof. Tadeusza Kożucha z Chicago w pięknej scenerii obrazów polskich mistrzów pędzla, zgromadzonych w Sukiennicach. W programie udanego koncertu utwory Chopina, Muczyńskiego, Paderewskiego, Ginastera i kompozycje własne jego wykonawcy.

Dzień piąty

Kongres zbliża się ku zakończeniu, toteż w wystąpieniach pojawiają się próby podsumowań i zarysy programów na przyszłość. Przed południem kanwę dla bogatej dyskusji stanowi gorąco przyjęty referat prof. Markiewicza o roli środowisk naukowych w rozwoju współpracy międzynarodowej. Zwraca w niej zwłaszcza uwagę niemal zupełny brak jakichkolwiek konfrontacji światopoglądowych i ideologiczno-politycznych. Dominuje szczere dążenie Polaków do współpracy niezależnie od istniejących pomiędzy nimi różnic. Prof. Kubiak, *jak w starym dobrym liceum przedwojennym*, wyczytuje kolejno nazwiska zagranicznych uczestników Kongresu, aby wręczyć im pamiątkowe dyplomy i medale ufundowane przez PAN.

Po południu finał w Sali Senatorskiej na Wawelu. Referat prof. Jana Kaczmarka, sekretarza naukowego PAN, dotyczący stanu obecnego i perspektyw rozwoju współpracy pomiędzy polskimi instytucjami naukowymi i uczonymi polskiego pochodzenia musi budzić szczere uznanie; godny jest miejsca, w którym zostaje wygłoszony. Przewodniczący poszczególnych sekcji prezentują zwięzłe podsumowania. Prof. Szczepański umiejętnie stwarzający nastrój ciepła, a zarazem doniosłości podnoszonych spraw, wygłasza przemówienie pożegnalne. Tu i ówdzie kręci się łezka w oku. Ostatnie „słowo" należy do pani Haliny Czerny-Stefańskiej, która mistrzowskim wykonawstwem muzyki Chopina budzi zachwyt i aplauz zebranych.

Roman Tokarczyk

Doc. dr hab. Roman Tokarczyk jest kierownikiem Zakładu Teorii Organizacji i Kierownictwa na Wydziale Prawa i Administracji UMCS w Lublinie. Opublikował wiele prac naukowych i popularnonaukowych, ostatnio: „Współczesne doktryny polityczne" (Lublin 1978) i „Utopia nowej lewicy amerykańskiej" (Warszawa 1979). W kręgu zainteresowań naukowych doc. R. Tokarczyka znajduje się również problematyka polonijna; swego czasu opublikował w „Kamenie" cykl artykułów poświęconych Polonii amerykańskiej. Niedawno uczestniczył w II Kongresie Uczonych Polskiego Pochodzenia w Warszawie i Krakowie.

Ryszardy Hanin droga do teatru

MIROSŁAW DERECKI

— *Swoją drogę teatralną w Polsce Ludowej rozpoczynała Pani wraz z jej narodzinami: na deskach lubelskiego teatru, latem 1944 r. rolą Anieli w Fredrowskich „Ślubach panieńskich". Potem była Panna Młoda w, również lubelskim, „Weselu" Wyspiańskiego. Potem... kilkadziesiąt ról teatralnych, filmowych, telewizyjnych, jakże zróżnicowanych: od Melibei w wystawionej przez Schillera w 1947 r. „Celestynie" Rojasa, przez pamiętną rolę Matki w telewizyjnej realizacji „Niespodzianki" Rostworowskiego, aż po kreację tytułowej postaci w filmie „Zofia" Ryszarda Czekały. Od szeregu lat jest Pani wykładowcą w warszawskiej Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej. I jeszcze: kapitanem rezerwy Ludowego Wojska Polskiego. To ostatnie „zaszeregowanie" jest konsekwencją wojskowej służby rozpoczętej latem 1943 r. w Sielcach nad Oką na... scenie Teatru 1 Dywizji WP im. Tadeusza Kościuszki. Tak więc Pani kariera artystyczna zaczęła się właściwie już w 1943 r. A raczej — jeszcze w roku 1941, we Lwowie, w przedstawieniu „Krakowiaków i Górali" zrealizowanym przez Bronisława Dąbrowskiego na scenie tamtejszego teatru...*

RYSZARDA HANIN

— Określenie „początek kariery artystycznej" w odniesieniu do okresu lwowskiego, to przesada. W „Krakowiakach i Góralach" po prostu statystowałam. Tańczyłam, śpiewałam w chórze, może wykonywałam jakiś kuplet... Znalazłam się wtedy w teatrze nie z powodu specjalnej miłości do sztuki, ale dlatego, że chciałam dorobić do skromnej pensji. Przeczytałam akurat w gazecie ogłoszenie, że są potrzebni statyści do „Krakowiaków i Górali". Moje plany życiowe nie były wyraźnie sprecyzowane. Po maturze zaczęłam w rodzinnym Lwowie studiować romanistykę, pracowałam też jako wychowawczyni w Domu Dziecka, gdzie — nawiasem mówiąc — „opiekowałam się" dryblasami niewiele młodszymi ode mnie.

Polski teatr, mieszczący się w budynku przy ulicy Jagiellońskiej, grał między innymi „Pannę Maliczewską", wystawiono sztukę Wandy Wasilewskiej o Bartoszu Głowackim... Gdzieś w kwietniu 1941 r. rozpoczęły się próby „Krakowiaków i Górali". Z pozycji teatralnej statystki przyglądałam się z zainteresowaniem pracy znanych aktorów: Jana Kreczmara, Władysława Krasnowieckiego, Mieczysława Węgrzyna, Woźniaka, Chojnackiej... Postać Basi odtwarzała młodziutka Justyna Karpińska, późniejsza żona Jana Kreczmara, z którą się bardzo zaprzyjaźniłam. To właśnie dzięki niej poznałam, już na gruncie towarzyskim, Kreczmara i szereg innych aktorów. Bywałam często w ich towarzystwie, ale ...raczej jako wielbicielka, osoba spoza ścisłego kręgu.

Nie jestem zupełnie pewna, ale wydaje mi się, że zagraliśmy „Krakowiaków i Górali" tylko jeden raz. Była to druga połowa czerwca 1941 r. Następnego dnia po premierze ukazała się jeszcze recenzja Boy'a, a potem... zwaliła się na Lwów nawała nieprzyjacielskiego ognia: Niemcy napadli na Związek Radziecki.

— *Teatr nie był jednak przecież jedynym środowiskiem kulturalnym w jakich się wówczas Pani obracała. Poprzez osobę męża, Leona Pasternaka, związana była Pani z grupą pisarzy i publicystów lewicowych, już wówczas z uwagą rozważających przyszłość nowej Polski, jako kraju wspierającego swój ustrój na podstawach socjalistycznych. To określenie się musiało następnie rzutować na całą Waszą dalszą drogę powrotną do Polski...*

— Leon pracował we Lwowie w redakcji „Czerwonego Sztandaru". Tym bardziej był dla Niemców osobą „niebezpieczną": później dowiedzieliśmy się, że wkrótce po zajęciu Lwowa przyszli go aresztować do naszego mieszkania, przy ul. Kochanowskiego. Ale my byliśmy już wówczas, na szczęście, daleko. Z falą uchodźców docieraliśmy do Kijowa.

Nasze poprzednie spotkanie z Niemcami, w czerwcu 1941 r., już przed wybuchem wojny, przebiegało w zupełnie innej atmosferze: w rocznicę śmierci Klary Zetkin przyjechał z Moskwy niemiecki pisarz i tłumacz Majakowskiego, emigrant polityczny, Hugo Huppert. Byliśmy z mężem na jego odczycie, a potem na uroczystej kolacji wydanej na cześć Hupperta. Wracając spokojną, cichą nocą do domu ani myśleliśmy, że już tylko godziny dzielą nas od wojny. Wkrótce miała się rozpocząć nasza kilkuletnia wędrówka na trasie: Kijów, Ufa, Moskwa, Kazań, Saratow, Kujbyszew, Sielce nad Oką, no i wreszcie: Chełm, Lublin... Byłam w tej podróży najczęściej również tylko zwykłą statystką; ale i tak udało mi się zobaczyć wiele i w wielu wydarzeniach historycznych mogłam uczestniczyć.

— *Szybko się dojrzewa w takiej wędrówce.*

— Wie Pan, problem zyskiwania dojrzałości nie da się chyba określić jednym krótkim „tak" lub „nie" ... Dojrzewanie to sprawa bardzo indywidualna. Zależna od wielu czynników. Od sytuacji w jakich się znaleźliśmy, od zadań, jakie nam postawiono. Nieraz zastanawiam się, jak by się ukształtował mój charakter, osobowość, sposób myślenia, gdybym w tamtych ciężkich czasach otrzymała bardziej trudne zadania, bardziej odpowiedzialne. Gdybym na przykład musiała stanąć na czele plutonu żołnierzy, tak jak to przecież czyniły niektóre moje rówieśniczki... W każdym razie — widziałam dużo, poznałam wielu ciekawych ludzi i to musiało mieć wpływ na rozwój mojej osobowości. Myślę, że również tej przyszłej — artystycznej.

Potęga młodości — a byłam wówczas bardzo młoda — polega również na tym, że dojrzewając nawet w bardzo przyspieszonym tempie, zachowuje się pewną naiwność spojrzenia, a co za tym idzie — swoistą beztroskę, i rzecz najważniejsza: niesposkromioną radość życia. Kiedy zimą 1941 r. przyjechaliśmy do Moskwy i Leon podjął pracę w redakcji „Nowych Widnokręgów", gdzie prowadził dział poezji, zamieszkaliśmy w hotelu „Moskwa" przy Prospekcie Marksa. Z dachu hotelu można było przez lornetkę zobaczyć dalekie zarysy umocnień obronnych — armia niemiecka dochodziła już na przedpola stolicy Związku Radzieckiego. Trwały ciągłe naloty, padały bomby, całe noce spędzaliśmy w schronie w podziemiach hotelu, w każdej chwili groziła nam śmierć, a przecież mimo tego wszystkiego potrafiłam rozkoszować się smakiem lodów, zachwycać „surrealistyczną" dekoracją Moskwy, której gmachy i place nakryto w wielu miejscach w celu ich zamaskowania płachtami „lasów" i „łąk" powyciąganych jakby z zakamarków składów teatralnych dekoracji. Ze zdumieniem też obserwowałam, jak na ulicy Gorkiego ekipy robotników przesuwały na specjalnych rolkach murowany budynek, żeby można było poszerzyć jezdnię. To mi zaimponowało. Nie tyle sama technika, ale fakt, że dokonuje się tego w t a k i m momencie! Jakby nie było wojny, a Niemcy nie stali u bram stolicy! Ta zwykła, „pokojowa" praca była jakby potwierdzeniem słów słynnego spikera radzieckiego, Lewitana, płynących z radiowych głośników, że „pobieda budiet za nami!"

Krzyżowały się wtedy w Moskwie drogi Polaków z różnych stron. Poznałam wielu starych komunistów — Polaków żyjących tutaj jeszcze od czasów Rewolucji Październikowej, emigrantów politycznych, widziałam Feliksa Kona, żonę Dzierżyńskiego i jego syna. W schronie pod hotelem „Moskwa" spotkaliśmy też Polaków przybyłych z Londynu: pierwszych korespondentów prasy związanej z tamtejszym rządem emigracyjnym — Ksawerego Pruszyńskiego i Feliksa Topolskiego.

Pewnej nocy poderwał nas z łóżek telefon K. Fadiejewa: zawiadamiał o natychmiastowej ewakuacji wszystkich cudzoziemców. Moskwa wchodziła właśnie w swój najtrudniejszy okres obrony.

Po kilku dniach dojechaliśmy do Kazania. A potem, po słynnej zimie 1941 roku, spędzonej wspólnie z rodzinami różnojęzycznych emigrantów politycznych — w tym również Niemców — w „obszczeżytiu", czyli w wielkiej świetlicy wydawnictwa „Tatgosizdatu" — Tatarskiego Wydawnictwa Prasowego — nastąpił wyjazd do Saratowa. Tam, wśród innych Polaków — działaczy politycznych, literatów i pisarzy, Leon Pasternak podjął pracę w dziale audycji polskich, utworzonym przy ewakuowanym z Kijowa Ukraińskim Radiokomitecie. Kierownikiem działu został przybyły niedawno spod Stalingradu major Wiktor Grosz.

— *A więc i Pani wówczas rozpoczęła radiową działalność artystyczną?*

— Jeszcze nie artystyczną! Byłam na etacie gońca. To już prędzej Leon wykonywał „aktorskie" zadania: zdarzało się, że występował nawet jako ... piosenkarz. Wciąż brakowało nam ludzi. I właśnie dlatego po pewnym czasie awansowałam na spikerkę. Byłyśmy trzy: Estera Widnar, ja, potem doszła jeszcze Henryka Krzyżanowska. Wkrótce oprócz tekstów komunikatów zaczęłam czytać także teksty literackie: poważne, patriotyczne, a także satyryczne, pisane najczęściej przez Adama Ważyka i mojego męża. Działalność radiowa nasiliła się jeszcze bardziej, kiedy przenieśliśmy się do Kujbyszewa: Polska redakcja działała teraz przy Wszechzwiązkowym Radiokomitecie, który miał tutaj siedzibę po przeniesieniu się z Moskwy. W redakcji spotykało się m. in. Jędrychowskiego, Minca, Putramenta; wiele szacunku i admiracji odczuwałam zwłaszcza wobec Juliana Bruna. Później część ludzi z naszej redakcji przeszła do reaktywowanych w Kujbyszewie „Nowych Widnokręgów".

Już nie pamiętam, w Saratowie czy też w Kujbyszewie, otrzymaliśmy karty wstępu do stołówki, do której został „przydzielony" również cyrk. To znaczy pracownicy jednego z radzieckich cyrków. Sytuacja żywnościowa była wciąż jeszcze ciężka i podstawą stołówkowego menu była soja, której zresztą nie brakowało. Mieliśmy więc zwykle zupę sojową, potem szedł kotlet sojowy i może nawet jakiś „sojowy deser... Do dzisiaj nie mogę spojrzeć na soję, ale wówczas całe nasze „artystyczne" towarzystwo: atleci i lilipuci, spikerki radiowe i literaci — zjadaliśmy wszystko, aż do ostatniego ziarnka. Zawsze fascynowało mnie to, że takie same porcje zjadali stopięćdziesięciokilogramowi zapaśnicy jak i artyści, którzy nie przekroczyli metra wzrostu... Moje kontakty z cyrkiem nie wyszły wszakże nigdy poza ów czysto „stołówkowy" wymiar. Natomiast w połowie 1943 r. stałam już na deskach teatralnych. Jeżeli takim mianem można określić drewnianą, prowizoryczną estradę w wojskowym obozie w Sielcach nad Oką. Zaczynał się tworzyć przyszły Teatr Wojska Polskiego, którego kierownikiem miał zostać kiedyś, już w wyzwolonej Łodzi, Leon Schiller.

— *A wcześniej, w ostatnich dniach lipca 1944 roku, jako Teatr 1 Armii Wojska Polskiego pod kierownictwem Władysława Krasnowieckiego — miał ten teatr przemówić, jako pierwszy, do mieszkańców wyzwolonego właśnie Lublina polskim słowem i polską piosenką.*

— Tak. Ale w połowie 1943 r. w Sielcach był to dopiero Teatr 1 Dywizji WP im. Tadeusza Kościuszki. Dopiero zawiązek teatru. Jego organizację powierzono oficerowi bez stopnia — Leonowi Pasternakowi.

— *I to on „zaangażował" Panią do teatru?*

— Mnie i szereg innych amatorów, którzy już kiedyś zetknęli się ze sceną. Bo zawodowych artystów na palcach jednej ręki można było — przynajmniej wtedy, w pierwszym okresie — policzyć. „Prawdziwą", przedwojenną aktorką była żona operatora filmowego Stanisława Wohla — Halina Billing, zawodowym aktorem był Marian Nowicki, reżyserem i aktorem — Jerzy Walden oraz — przybyły przed piątą „premierą" — Władysław Krasnowiecki. On też wkrótce objął kierownictwo naszego „Teatrzyku z tęczą" — jak popularnie nazywali go żołnierze. Biało-czerwona, półkolista „tęcza" z wpisaną w nią linią Wisły stanowiła główny element dekoracyjny Teatru 1 Dywizji. Była pomysłem Leona Pasternaka. Przebojem piątego programu była napisana przez Leona „Oka", którą wykonywał po raz pierwszy Juliusz Przybylski, zdolny amator, późniejszy aktor zawodowy, mąż Marii Chodeckiej, która — również amatorka — znalazła się w naszym teatrze. „Oka" stała się szybko piosenką szalenie popularną w wojsku, a potem także wśród ludności cywilnej, kiedy wkroczyliśmy na polskie ziemie — przynosząc ją w programie „Z pieśnią do kraju".

— *Zachował się nawet afisz tego pierwszego, lubelskiego przedstawienia teatralnego z 29 lipca 1944 r.*

— A mnie się zdaje, że wystąpiliśmy jeszcze poprzedniego dnia, wieczorem niejako „wprost z maszu". Nie byłoby przecież czasu na wydrukowanie afisza — tak z godziny na godzinę.

Graliśmy wreszcie w prawdziwym teatrze, na prawdziwej scenie. Graliśmy w nastroju podniosłym i radosnym, bo oklaskiwała nas publiczność spragniona od lat polskiego słowa płynącego ze sceny. Było nam przecież zarazem ciężko na duszy, bo jeszcze kilka godzin temu, tuż po przyjeździe do Lublina, zetknęliśmy się z ostatnim, tragicznym akordem kończącej się dla tego miasta okupacji: zobaczyliśmy setki zwłok więźniów lubelskiego Zamku, wymordowanych przez Niemców.

Groza okupacji była tak jeszcze żywa, że kiedy owego wieczoru ze sceny padły wypowiedziane przez Halinę Biling słowa wiersza Pasternaka o Oświęcimiu, na samą wzmiankę o obozie zagłady na widowni zapanowała panika, rozległ się płacz, ludzie rzucili się odruchowo do ucieczki. Musieliśmy przerwać przedstawienie. Krasnowiecki wyszedł na scenę, długo przemawiał ciepłymi słowami, uspokajał, mówił że tamte czasy już nie wrócą. Może właśnie w owej chwili nauczyłam się więcej, niż kiedykolwiek. To był kolejny krok ku dojrzałości...

Składankę „Z pieśnią do kraju" graliśmy w Lublinie na zmianę ze „Ślubami panieńskimi" Fredry. Pamiętam że na próbie generalnej tej sztuki (pierwszej naszej sztuki pełnospektaklowej!), która odbywała się 1 lipca 1944 r. gdzieś na leśnym „miejscu postoju", zasiedli na miejscach dla publiczności aż czterej generałowie: Berling, Świerczewski, Zawadzki i Siwicki.

Albina grał w „Ślubach panieńskich" Marian Nowicki, Gucia — Władysław Krasnowiecki, Radosta — Władysław Godik, postać Klary odtwarzała na zmianę z Ireną Krasnowiecką — Halina Billing, a ja byłam Anielą. Przy okazji warto przypomnieć, że to właśnie Marian Nowicki pierwszy odczytał na zorganizowanym w Chełmie wiecu ludności treść Manifestu Lipcowego.

— *Władysław Krasnowiecki wspomina w książce „W stołecznym Lublinie" wrażenie, jakie zrobiło na nim spotkanie tuż po wkroczeniu Teatru 1 Armii do Lublina — swoich przedwojennych kolegów — aktorów, którzy w tym mieście przeżyli okupację: Ireny Ładosiówny, Józefa Klejera i innych. A jakie wrażenie zrobił wtedy na Pani lubelski teatr?*

— Byłam zachwycona, że stoję wreszcie na scenie prawdziwego teatru. Teatru, który w dodatku znajduje się już w Polsce! Ale zdałam sobie również sprawę z faktu, że droga do teatru dopiero się teraz dla mnie zaczyna naprawdę. Bo też teraz, inaczej niż przed kilku laty we Lwowie, wiedziałam czego chcę: między innymi tego, żeby zostać w teatrze.

Wielkim przeżyciem było lubelskie spotkanie ze Stefanem Jaraczem: ów raport który składał przed frontem zespołu Władysław Krasnowiecki meldując jemu, odchodzącemu już wielkiemu polskiemu aktorowi, o naszej gotowości do pracy w nowej Polsce. Na widowni siedział „cywil", Jacek Woszczerowicz, a po twarzy płynęły mu łzy.

Wkrótce potem Jacek Woszczerowicz powierzył mi rolę Panny Młodej w reżyserowanym przez siebie „Weselu".

— *W trzydziestą piątą rocznicę tamtej premiery lubelski Teatr im. Juliusza Osterwy wystąpi — w listopadzie br. — z kolejną inscenizacją „Wesela". Powinienem teraz zadać dość stereotypowe pytanie: jakie byłyby Pani odczucia, gdyby znalazła się Pani na widowni...*

— Ale ja przecież... nie znam tamtego przedstawienia z 1944 roku. Bo widzi Pan, aktor grając w spektaklu właściwie go nie zna. Oczywiście nie zna — z pozycji widza. Aktor jest częścią składową spektaklu. Jest sobą, ale zarazem postacią, którą kreuje. Utrzymuje kontakt z widownią, ale przecież, przede wszystkim, ze swoim scenicznym partnerem. Dlatego nie potrafiłabym porównywać tamego, historycznego, i tego współczesnego, listopadowego przedstawienia, o którym Pan wspomina. Ale na pewno przeżyłabym jakieś wielkie wzruszenie. Może niewiele mające wspólnego z doznaniami niegdysiejszej młodej aktorki-żołnierza. Na pewno wielkie, ale i na pewno już inne.

Rozmawiał:
Mirosław Derecki

Migranci pani Bechczyc

WIELKIE ruchy ludności — migracje — towarzyszyły śmierci antyku. Przemieszczające się niepowstrzymanie z północy na południe, południo-wschód i zachód, barbarzyńskie plemiona, rozmywały fundamenty imperium rzymskiego, a następnie samą substancję tego najznakomitszego tworu administracyjno-politycznego czasów starożytnych. Nieporównanie gwałtowniejsze migracje towarzyszą dogorywaniu nowożytności. Inny też noszą charakter, niż tamte, niegdysiejsze wędrówki różnych Franków (rypuarskich, górnych i dolnych), Saksonów, Longobardów, Obotrytów, Gotów i Wandalów oraz ich niezliczonych sąsiadów i współplemieńców. Dziś przetasowania dokonują się nie zawsze całymi społecznościami, ale niekiedy wewnątrz nich. Setki milionów opuszczają zapadłe wsie, rozległe pastwiska, stepy, dziki busz, by przenosić się do kuszących cywilizacją miast i osiedli przemysłowych. Równocześnie, gdzie indziej, miliony przepędzane z miast i osiedli zmuszane są do wykonywania karkołomnego skoku o parę wieków wstecz — ku prymitywnym formom naturalnej gospodarki rolnej. Są nacje, które system przesiedleń wykorzystują do oczyszczania granicznych stref wzajemnego przenikania się i styku odmiennych narodów, ras czy szczepów. Całe, olbrzymie, wiekami osiadłe społeczności bywają brutalnie zmuszane zewnętrznymi okolicznościami, lub perfidną demagogią, do porzucania dotychczasowych siedzib i udawania się na tułaczkę. Miliony nędzarzy emigrują w poszukiwaniu pracy, miliony głodnych w poszukiwaniu pokarmu, miliony zniewolonych w poszukiwaniu mniejszego ucisku. Exodus okazuje się powszechnym sposobem bycia końca drugiego milenium naszej epoki. Epoki, która sama w pewnym stopniu ma się ku końcowi, zawikłana we własne sprzeczności ekologiczne, społeczne, surowcowe, ekonomiczne, ideowe itd. Migracje stają się symbolem czasu, a status emigranta — statusem człowieka ery największych nadziei, szans i rozczarowań. Emigrujemy z miejsca w miejsce, z kraju do kraju, z kontynentu na kontynent, z planety naszej wreszcie, w bezmiar kosmosu. Te ucieczki, przenosiny, te włóczęgi ludzkie nie mogą, nie powinny, umknąć uwadze żadnego pisarza poczuwającego się do odpowiedzialności za swój czas, a więc i swoje słowo. I nie umykają. Przetaczanie się tłumów drogami świata stanowi przedmiot zainteresowania wielu twórców, a dzieje migracji — temat wielu znakomitych utworów.

Nic dziwnego, że autor tak wrażliwy na sprawy współczesności jak Maria Bechczyc-Rudnicka, swoją ostatnią książkę *) poświęca sprawom migracji. Szeroko, bardzo szeroko pojętej. Nie tylko bowiem o migracje ludzi tu idzie, ale także wartości kulturalnych, obyczajowych, a wreszcie czegoś, co można by nazwać, może nie bardzo precyzyjnie, migracją racji egzystencjalnej. Formalnie rzecz traktując książka jest zestawem trzech, nie powiązanych postaciami, ani intrygą, nowel powstałych w różnych latach (między 1938 a

Maria Bechczyc-Rudnicka. Październik 1978

Fot. Wanda Parys

1955), rozgrywających się w rozmaitych krajach (Rosja, Francja, Polska), epokach (przed I wojną światową, przed II wojną i w jej czasie), środowiskach... A przecież mimo tych rozmaitości łączy je wspólny, ukryty w podtekstach, mianownik m i g r a c j i, wędrówek.

Amerykański handlowiec Mr William Shakespeare („Gloria mundi") przekonywa się, po zabawnym zdarzeniu w głębi carskiej Rosji, jak opornie odbywa się osmoza kulturalna między różnymi narodami. Opornie i opatrznie. Wędrówka dzieła jego znakomitego imiennika przez granice, nieoczekiwanie nadaje tej postaci konkretny wymiar wmontowanego we współczesność człowieka. Nieśmiertelność zrodzona z ciemnoty okazuje się przecież — w najgłębszej warstwie — autentycznym triumfem „Łabędzia znad Avonu". Iwan Petrow („Maniak") — biały rosyjski uciekinier — na paryskim poddaszu, okazuje się prekursorem intelektualisty z Mrożkowskich „Emigrantów", tyle że głębiej (i trochę melodramatyczniej) sprowadzonym na dno życia, gdzie otrzymuje już tylko marny, jarski obiad za reklamowe błazeństwo i rumiane jabłko wygrzebane z rynsztoka. Starszy, sfrustrowany malarz („Droga w ciszy"), „nieudacznik" swojej sztuki, znajdzie w najbardziej dramatycznej chwili wyjście z beznadziejnego kręgu własnych klęsk, poprzez ofiarowanie się młodości. Cudzej. Bujnej i płodnej młodości innego artysty. Ocalenie prac tamtego stanie się sensem własnej egzystencji. A więc ucieczka w cudzy życiorys, ostatnia z trzech migracji...

Od żartu z kroplą goryczy, poprzez melodramat, aż ku tragedii okraszonej promykiem nadziei — podąża autor czas i przestrzeń Bechczyc-Rudnicką kształtując z niefrasobliwą swobodą formę swych opowiadań, zawieszonych między realizmem fabuły i podskórnym nurtem filozoficznej, zaprawionej poezją, zadumy. Wszystko w „dobrze skrojonej" polszczyźnie, wytwornym kształcie, troszkę tradycyjne, a jednocześnie jakoś profetyczne... I to może właśnie jest najdziwniejsze. Bo i rosyjsko-polska analogia emigrancka, i skierowana w kosmos rakieta (A. D. 1945) i absurdalna humoreska Mr Shakespeare'a á la Ionesco — wszystko to jakoś wyprzedza swój czas. Zapowiada...

Smaczne danie i po swojemu nowe przygotowała nam pani Maria. Nestorka polskiej krytyki teatralnej, wulkan aktywności. Kobieta, której młodzieńcza witalność, nie bacząca na metrykę, staje się wprost nieprzyzwoita. Z Bechczyc-Rudnicką nie wytrzymujemy tempa. Za starzyśmy są!

Lektura „Nagłych zamyśleń" pozwala i na chwilę oddechu i daje impuls do głębszej refleksji. Najlepsze, najbliższe było mi pierwsze z opowiadań („Gloria mundi"), nasycone dobrym humorem, finezyjną ironią, a doprawione goryczką rodzącą się zawsze z zestawiania obrazu świata z jego wyobrażeniem. Niezborność obu figur musi przecież zrodzić odrobinę smutnej zadumy. Nieprawda?

Najchłodniejszym pozostawiła mnie ostatnia nowela („Droga w ciszy"), może zresztą dlatego, że opisuje sytuacje podobne znanym mi z autopsji, a więc obrosłe bluszczem własnych wyobrażeń, doświadczeń, emocji.

I na koniec jeszcze jedno: piękny ukłon należny jest Wydawnictwu Lubelskiemu za bardzo staranną szatę graficzną książki i uczciwy nakład (10.000 egz.). Ilustracje Jerzego Kostki są naprawdę świetne i chętnie wraca się do nich wielokrotnie. Przypominają one najszczęśliwiej, jak ważnym elementem książki jest jej forma plastyczna — powszechnie, choć z różnych przyczyn — tak dziś zaniedbywana w naszym ruchu edytorskim. Niestety, gorzej spisały się Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN — dając podły klej swojej introligatorni, skutkiem czego książeczka po paru lekturach rozsypuje się. A przecież Bechczyc-Rudnicka nie jest przeznaczona do jednorazowego czytania.

Andrzej Hausbrandt

* „Nagłe zamyślenia" Maria Bechczyc-Rudnicka, Wyd. Lubelskie, Lublin 1979, str. 48+3 ilustr., cena 15 zł.

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 75 LATY

Nareszcie i w Lublinie powstanie oddział Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, dzięki inicjatywie i szczególnemu zajęciu się tą sprawą członka warszawskiego oddziału Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami p. Wysockiego. Oddział lubelski zagarnie pod swe skrzydła wszystkie powiaty guberni. Odpowiednią, prawem wymaganą deklarację podpisało 27 przyszłych członków — założycieli. Jest to sprawa niezmiernej doniosłości. Barbarzyńskie obchodzenie się, ze zwierzętami stało się u nas tak rozpowszechnione, że trzeba było wiele starań dołożyć, aby położyć kres wszelkim nadużyciom i osiągnąć pożądane cele. Na tym polu zjednoczyć się powinni wszyscy, tu cała inteligencja nasza powinna sobie podać ręce i pracować aby zapobiec znęcaniu się i ulżyć doli naszych niemych, wiernych przyjaciół. Toteż ani na chwilę nie wątpimy, że skoro pozwolenie na otwarcie oddziału lubelskiego nadejdzie, wszyscy pospieszą zapisać się na członków i zaczną chętnie współdziałać z przyszłym zarządem niosąc mu pomoc materialną i moralne poparcie.

„Gazeta Lubelska"

PRZED 50 LATY

Niejednokrotnie pisaliśmy już o składzie żelaza Wolfmana przy ulicy Szpitalnej. Jest to skład, który już od szeregu lat mieszkańcom tej dzielnicy daje się dotkliwie we znaki. Skład ten nie powinien znajdować się w centrum miasta. Zrozumiałą jest rzeczą, że mieszkańcy okoliczni trzykrotnie czynili już starania u władz o usunięcie tego składu. Przywóz, wywóz, cięcie itp. żelaza dokonuje się z takim hałasem, hukiem i grzmotem, że nawet najspokojniejszych wyprowadzić to może z równowagi. Na wszystkie te skargi władze nie reagowały. Dopiero dzisiaj, jak dowiadujemy się, odbędzie się na miejscu dochodzenie. Ze sprawą tą należałoby skończyć, skład należy zlikwidować.

★

Dowiadujemy się, że wkrótce ulice naszego miasta pozyskają ozdobę w postaci ślicznych kiosków, w tych punktach miasta, gdzie obecnie stoją drewniane słupki, oznaczające przystanki autobusów miejskich. Kiosk — przystanek będzie miał kształt kolumny 5-ciościennej, wierzchołek tej kolumny zakończony będzie kulą lub inną figurą geometryczną. Wysokość kiosków wynosić będzie 2,56 m. Na dwóch palach kolumny będą wypisane kierunki linii autobusowej i rozkład jazdy. Wszystkich kiosków—przystanków będzie 12. Projekt tych kiosków wypracowany został przez wydział budowlany magistratu i kierownika autobusowej komunikacji miejskiej. Pierwsza para kiosków ukaże się już na ulicach Lublina w lipcu b.r.

★

W ciągu miesiąca maja b.r. w Lublinie zanotowano nowo narodzonych dzieci 236, w tej liczbie żywych 225 i 11 nieżywych, dzieci z małżeństw ślubnych 194 i dzieci nieślubnych 31.

Głos Lubelski

Małżeństw w ciągu miesiąca maja r.b. zawarto 47. Liczba zgonów osób (bez przyjezdnych) w ciągu maja wynosiła 165 osób, w tym dzieci w pierwszym roku życia było 41, tj. prawie 25% ogółu zmarłych, jest to zastraszający procent śmiertelności wśród dzieci. Spomiędzy chorób największą liczbę osób pochłonęła gruźlica płuc — 41, gruźlica innych postaci — 11, rak i inne nowotwory złośliwe — 13.

Wybrała:
Anna Orzechowska

KRONIKA KULTURALNA

● Podczas spotkania w Polonijnym Centrum Kulturalno - Oświatowym UMCS w Lublinie prof. F. Mocha z USA zaprezentował zredagowaną i wydaną przez niego książkę pt. „Polacy w Ameryce", która zawierając teksty 17 autorów, przedstawia wkład Polaków w rozwój Stanów Zjednoczonych AP. Obszerne wydawnictwo zostało przychylnie przyjęte przez specjalistów amerykańskich i polskich.

● Bolesławowi Leśmianowi poświęcony jest kolejny medal wybity staraniem Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Turystycznego w Lublinie, które z godną pochwały konsekwencją upamiętnia w ten sposób wybitne postacie, życiem i działalnością związane z naszym regionem. Nieco wcześniej WPT wydało medal z wizerunkiem gen. Kleeberga.

● Mimo ustaleń na wysokim szczeblu, pozwalających z optymizmem spoglądać w renowacyjną przyszłość Starego Miasta w Lublinie, prace konserwatorskie i remontowe na tym obszarze przebiegają ślamazarnie. Prasa codzienna apeluje więc o „więcej zrozumienia oraz dobrej woli wszystkich zainteresowanych" ratowaniem unikalnego zabytku. Ze względów moralnych popierając takie sugestie, radzimy poszukać skuteczniejszych środków działania, np. w sferze racjonalnego i realnego programowania prac.

● Znajdujący się w opłakanym stanie pałac w Jakubowicach Murowanych koło Lublina znalazł właśnie opiekuna w postaci przedsiębiorstwa PKS, które po doprowadzeniu obiektu do przyzwoitej postaci zamierza ulokować w nim ośrodek szkoleniowy dla swojej załogi oraz, w części gospodarczej, magazyny. Gratulując PKS-owi odważnej decyzji, zachęcamy inne instytucje państwowe i społeczne do takiej konkretnej opieki nad zabytkami.

● Znakomite, lecz ciężko sponiewierane przez wilgoć, sole i ludzi freski w kaplicy św. Trójcy na Zamku Lubelskim wracają powoli do formy. We wrześniu mają być zakończone prace konserwatorskie malowideł w prezbiterium, później specjaliści zajmą się freskami nawy, aby odnawiać je przez niemal trzy lata.

● W Tarnawatce na Roztoczu Tomaszowskim finalizowana jest budowa radiowo-telewizyjnej stacji przekaźnikowej, dzięki której mieszkańcy województw: zamojskiego oraz (częściowo) przemyskiego i tarnobrzeskiego będą mogli odbierać program II telewizji i przestaną narzekać na jakość odbioru programu I.

● Ponad trzydziestu malarzy i trzech fotografików (m. in. Marian Gadzalski) uczestniczy w kolejnym, piątym, plenerze w Janowie Podlaskim, poświęconym w znacznej mierze tematyce hipologicznej. Kilku artystów przyjechało na Wysodę z Francji, Kanady, Australii i Argentyny. Przy okazji przypominamy, że w dotychczasowych czterech spotkaniach brało udział 98 twórców, a zestawy wykonanych przez nich prac prezentowano m. in. w Bratysławie. Obecnie Biała Podlaska przygotowuje wystawę do Wiednia.

● 338 prac 38 twórców wpłynęło na konkurs „Sztuka wsi w 35-leciu PRL", urządzony przez instytucje kulturalne Białej Podlaskiej i ZG STL. Pierwsze nagrody otrzymali: A. Weremczuk (rzeźba), P. Stasiuk (tkactwo), A. Jeruzalska (tkactwo), M. Tryczyk (tkactwo), J. Jarocka (pieczywo obrzędowe), E. Syryjczyk (pisanki).

● Nieczęsto zdarza się nam informować o otwarciu nowej księgarni, z tym większą więc przyjemnością donosimy, że takową, firmowaną przez MPiK, uruchomiono w lipcu w Lublinie, przy ul. Leonarda 18. Jest to placówka okazała: zajmuje niemal 200 m kw. powierzchni.

● W salonie wystawowym Puławskiego Ośrodka Kultury otwarto 31 lipca wystawę plakatu teatralnego NRD, urządzoną przy pomocy Ośrodka Kultury i Informacji Niemieckiej Republiki Demokratycznej w Warszawie. Pozwalamy sobie przypomnieć, że Puławy zgromadziły całkiem pokaźną i wartościową, bodaj jedyną w Polsce wschodniej kolekcję plakatu współczesnego.

● Z pewnym opóźnieniem — rzecz działa się w czerwcu — odnotowujemy, że w Oddziale Miejskim Stowarzyszenia PAX w Puławach odbyło się posiedzenie jury konkursu „Dziecko w poezji i fotografii", na którym przyznano następujące nagrody: w dziedzinie poezji — Kazimierzowi Smaloudze (II, pierwszej nie przyznano) i Annie Borkowskiej (III) oraz Krzysztofowi Denysiukowi, Jerzemu Utnikowi, Erazmowi Tadeuszowi Grudniowi (wyróżnienia), a w dziedzinie fotografii — Halinie Jęczeń (I), Mladenowi Wąlinowi i Kazimierzowi Olszowemu (III, drugiej nie przyznano) oraz Dariuszowi Kosteckiemu, Bogdanowi Tarasiukowi i Arkadiuszowi Karoniowi (wyróżnienia). Laureatom gratulujemy.

● I i III nagrodę w dziale prozy ogólnopolskiego konkursu literackiego „O laur Jana z Czarnolasu", ogłoszonego przez instytucje Radomia pod patronatem MKiS i ZG ZLP — otrzymał Tadeusz Jasiński, pracownik redakcji „Kameny", za utwory: „Stare kobiety wypłakują" (nie mylić z monodramem tegoż autora pod identycznym tytułem) i „Pomnik z granitu jasnego bez skazy". Jedno z wyróżnień konkursu również przypadło autorowi z Lublina, Janowi Sękowi, za utwór „Szachy od Jana do Stanisława". Natomiast w dziale poezji I nagrodę przyznano Zenonowi Dunajczykowi („Rozmowa z Janem"). Nasze gratulacje.

KALEJDOSKOP

Co mówi Deyna?

Kazimierz Deyna, piłkarz Manchester City, udzielił wywiadu dziennikarzowi „Sztandaru Młodych". Deyna przypomniał, że w pięciu ostatnich meczach Manchesteru City strzelił sześć bramek i był w znakomitej formie. A oto kilka fragmentów wywiadu:

— ...Nie mogę zrozumieć, dlaczego gra Pan w City jako środkowy napastnik.

— Ja też nie bardzo pojmuję motywy, którymi kierował się w tym przypadku (trener) Book. Nawet rozmawiałem z nim na ten temat, usiłowałem wytłumaczyć, że byłbym bardziej przydatny dla drużyny w roli rozgrywającego. A on swoje ...Kazi, jak na mnie mówią w Manchesterze, łap się w bary, będziesz dobry środkowy. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

— Jest Pan optymistą?

— Gdybym nim nie był, w ogóle nie pojechałbym do Anglii, bylko spokojnie grał z „kelnerami" we Francji, albo z żonglerami w Cosmosie. Ale zostało mi jeszcze trochę ambicji i świadomość, iż jako piłkarz nie jestem skończony.

— Wyczytałem, że brak znajomości angielskiego przeszkadza Panu w grze?

— Nonsens. Językiem bramek się nie strzela. Gra się głową i nogami. A gdy chodzi o angielski, klub załatwił mi korepetytorkę. Przychodzi do domu dwa razy w tygodniu i szlifuje moje umiejętności. Za rok powiedzmy lepiej mówić po angielsku.

— W Manchesterze nie jest Pan zapewne tak popularny, jak w Warszawie?

— Na pewno nie mniej. Kibice rozpoznają mnie na ulicy, pozdrawiają, odprowadzają do samochodu, proszą o autografy. Natura tamtejszych „fanów" jest zresztą trochę inna od naszej publiczności, co szczególnie widać na stadionie. Ludzie dopingują swoją drużynę, ale biją brawa także rywalom. Po przegranej nie robią tragedii, ponieważ wiedzą, że każdy może mieć swój słabszy dzień. Nie żądają — jak to się często u nas zdarza — zwycięstw za wszelką cenę.

— Warunki...

— Finansowe do pana wiadomości (słowa dotrzymuję — uwaga dziennikarza). Gwoli wyjaśnienia podaję tylko, że zarobki piłkarzy Manchesteru składają się z cotygodniowych poborów i premii za wygrane i zremisowane mecze. Nie ma dodatków za strzelone bramki. Obowiązuje pełna tajemnica zarobków... A mieszkaniowe... Klub wynajmuje mi willę z telefonem. Ja opłacam tylko światło i gaz.

Wywiadu nie komentujemy. Deynie tyle się swego czasu dostało w kraju (ten niefortunny karny!), a łaska niektórych dziennikarzy sportowych na patrym koniu jedzie (o samych kibicach już nie wspominamy), że możemy mu tylko życzyć sukcesów. Ile mu nasza piłka nożna zawdzięcza!

Oczywisty komplement

Kiedy już mowa o wywiadach... Wydaje się, że niebanalne zamieszcza ostatnio „itd". Oto fragmenty rozmowy Jacka Fedorowicza z Maciejem Rybińskim:

„— Za kogo się Pan uważa, Panie Fedorowicz?

— Nie wiem. Unikam samookreślenia. Od tego są inni.

— Na przykład ja?

— Między innymi.

— Jeśli powiem, że uważam Pana za blazna, to się Pan obrazi.

— Obrażę się za podejrzenie, że mógłbym się obrazić. Przecież to oczywisty komplement".

Ilu mamy w kraju takich Fedorowiczów?

Czy możliwe u nas?

Tygodnik „Motor" poinformował, że brazylijski program rządowy przewiduje (kosztem 5 mld dolarów) wyprodukowanie do 1985 roku miliona pojazdów z silnikami przystosowanymi do napędu ...alkoholowego.

Polska nie ma 5 mld dolarów, aby móc pójść śladem Brazylii. Obawiamy się jednak, że nasz zodiak wolałby napędzić alkoholem s i e b i e niż silnik i iść później na czworakach zamiast śmigać fiatem!

Chełm-80

W poprzednim numerze nie pogłaskaliśmy jednodniówki chełmskiej pt. „Jesteśmy". Warto jednak pochwalić inną publikację mianowicie „Chełm 80", stanowiącą organ Sztabu Studenckiej Akcji Chełm-80. Pismo na zlecenie ZG SZSP wydaje SSP „Universal", a redaguje zespół w składzie: Krzysztof Sobczak — redaktor naczelny, Jerzy Górny, Piotr Maciuk, Marian Grudziński — opracowanie techniczne.

„Chełm-80" (mamy numer z czerwca) to już nie zbiór rozpisanego na głosy referatu, ale dobra robota dziennikarska. A reportaż Barbary Bolakowskiej i Janusza Pawlaka pt. „Kto mnie przekona do PKS we Włodawie" mógłby się z powodzeniem ukazać w każdym piśmie, zainteresowanym tą tematyką.

O przyszłość prasy polskiej nie należy się więc martwić.

Nie podobała nam się jednak pani z ostatniej strony. W sukience wyglądałaby zapewne sympatyczniej. Ale d o b r e akty lubimy!

Druga strona medalu

Czytelnik „Kultury" ukrywający się pod pseudonimem „Stanisław" pisze w liście do redakcji: „...Dziś studiów nie kończy ten tylko nauczyciel, który nie chce. Cieszymy się, że oto w klasie X (iks) jest 70 proc. nauczycieli z wyższymi studiami, w innej już 90 proc. Ale chyba nikt nie policzył, ile to kosztowało i w złotówkach i wartościach społeczno-moralnych. Mam tu głównie na myśli krzywdy wyrządzone dzieciom, spowodowane absencją studiujących (urlopy legalne i „wyłudzane" zwolnienia lekarskie), bo ile „przepadło" godzin j. polskiego, matematyki. Prozę mi wierzyć, bywają szkoły, że dzieci nie uczą się niektórych przedmiotów całymi tygodniami, ba nawet miesiącami (urlop na pracę dyplomową). Tego zjawiska nikt nie jest w stanie ocenić. Wielu magistrantów i tych po egzaminie kwalifikacyjnym pracuje jak dawniej a czasem i mniej wydajnie, bo mówią: „Ci mi teraz mogą zrobić, mam dyplom w kieszeni". Wielu z nich jak reprezentowało niski poziom kultury, tak dalej reprezentuje, dla nich dalej wyraz „chyba — wypowiada się „cheba", „ziemniaki" — „żmiaki", „salceson" — „sałceson". Dlaczego tak się dzieje? Stworzyliśmy wszyscy, którzy mamy coś do powiedzenia od „góry" do „dołu", atmosferę sprzyjającą powstawaniu potworów... Wszyscy, którym leży na sercu dobro polskiej szkoły, winni wsłuchiwać się w krytyczne głosy i wyciągać odpowiednie wnioski do poprawy tej czy innej rzeczywistości..."

Chyba temat zasługujący na szerszą dyskusję.

Dokąd idziesz gastronomio?

Zakłady gastronomiczne, przynajmniej w Lublinie, w coraz większej mierze stają się stołówkami pracowniczymi. Zakład pracy jest zadowolony, bo nie musi kłopotać się o prowadzenie własnej stołówki, zakłady gastronomiczne również, bo mają stałych konsumentów, którzy rzadko kiedy wybrzydzają. Plan jest wykonywany, a nawet przekraczany, premie lecą. Wszystko gra. Konsument „niezorganizowany" chodzi od lokalu do lokalu i z cierpliwością godną lepszej sprawy szuka wolnego miejsca przy biesiadnym stole.

A w niedziele wiele restauracji straszy pustkami. „Stali" jadają w domu, a „niezorganizowani", zrażeni dniem powszednim, niewtajemniczeni w gastronomiczne rewiry, też wolą korzystać z własnej kuchni. Kto wie, może w niedzielę warto niektóre zakłady po prostu zamykać, pozostawiając tylko dyżurne? Korzyść będzie taka, że w dnie powszednie, kiedy konsumentów moc, zapewni się pełną obsadę personelu. Bo personel — też ludzie i raz w tygodniu odpocząć musi...

Co na to WSS „Społem"?

Gastronomią zajmiemy się w przyszłości osobno, mamy bowiem sygnały o zjawiskach niepokojących.

ekran i widz

Mel Brooks à la Hitchcock

W wydanym w ubiegłym roku „Leksykonie reżyserów filmowych" Zbigniewa Pitery — pozycji u nas pionierskiej w tym zakresie — wśród ponad 450 sylwetek zagranicznych reżyserów, którzy — jak stwierdza autor — „już trwale zapisali się w historii sztuki filmowej", na próżno szukalibyśmy nazwiska Mela Brooksa. To prawda: reżyser ten nie należy do artystów wyznaczających nowe kierunki rozwoju światowego kina. Jego osiągnięcia w gatunku komediowym, który uprawia, nie mogą się równać na przykład z tymi, jakie może zapisać na swoim koncie inny twórca współczesnej amerykańskiej komedii, Woody Allen (nb. temu ostatniemu Pitera poświęcił hasło w swoim leksykonie), ale też faktem jest, że filmy Mela Brooksa cieszą się dużym powodzeniem i mają liczne rzesze zwolenników.

Tak czy inaczej, po Woody Allenie właśnie Mel Brooks jest tym „drugim" we współczesnej amerykańskiej filmowej komedii. Jest przy tym osobowością zupełnie inną niż Allen. Tamten sięga najczęściej do pure-nonsensu, jego humor ma wymiar intelektualny, dowcip opiera się na grze słów, sytuacje filmowe — na spiętrzających się paradoksach. Brooks przeciwnie: nawiązuje najchętniej do doświadczeń dawnego kina; do amerykańskiej farsy, do komedii slapstickowej, lansując humor nie zawsze zresztą najbardziej wybredny. Ale też jego filmy pełne są pomysłów, cechuje je prawie nieokiełznany dynamizm, szybkie tempo, no i to, że jak za dawnych lat kina, publiczność oglądająca film Brooksa co kilka chwil wybucha huraganowym śmiechem. Tak śmiejemy się — spontanicznie, serdecznie i beztrosko — na filmach z Flipem i Flapem czy na zwariowanych, starych, komediach Macka Senneta zapominając nagle „że film ma być sztuką a komedia — ma być godną nas, którzy osiągnęliśmy „odpowiedni" stopień inteligencji, wiedzy, samoświadomości oraz kultury. Może wiele racji ma amerykańska znana recenzentka filmowa Pauline Keal — tak znielubiona przez „poważną krytykę" — kiedy pisze w jednym ze swoich szkiców krytycznych: *„Gdzieś w głębi duszy widzowie naprawdę pragną, by filmy były tandetnie zrobione, podoba im się wulgarność. To jest wytchnienie, wakacje od dobrego wychowania, dobrego smaku i konwencjonalnych reakcji. Publiczność burleski zdawkowo oklaskuje wdzięcznie eteryczną tancerkę, ale szaleje za sprośną barylą, która klepie się po otyłych biodrach. Po to przecież chodzi się na burleskę."* I może także i z tego powodu tak chętnie chodzimy na filmy Mela Brooksa.

Zabawa na filmach Brooksa polega między innymi na tym, że większość z nich to komediowe parafrazy, czy też parodie, względnie pastisze znanych dzieł albo gatunków filmowych. W dodatku — te „przeróbki" robione na sposób „sztubacki" — jakby powiedzieli nasi rodzice — a my porównalibyśmy je prędzej do stylu parodystycznego uprawianego przez „studenckie", krakowskie „Spotkania z balladą". Dowcip Woody Allena istnieje „sam w sobie"; komedie Mela Brooksa są tym śmieszniejsze im lepiej orientujemy się w materii i w kierunku czy też gatunku filmowym jaki parodiują.

Mel Brooks ma dzisiaj 53 lata (właściwie nazywa się Melvin Kaminski). Zaczynał karierę jako autor skeczów dla amerykańskiej telewizji. Podobnie zresztą jak Woody Allen. Tak samo też jak i Allen najczęściej występuje w reżyserowanych przez siebie filmach, prezentując doskonałe aktorstwo komediowe. Debiutował w długim metrażu w 1967 r. farsą „The Producers" („Producenci") pokazującą w zabawny sposób perypetie bohaterów filmu — menażerów działających w show-businessie. Kpiną z popularnych w Stanach Zjednoczonych westernowych tzw. „końskich oper" był film „Blazing Saddles" („Błyszczące siodła"), a parodią „filmów grozy" — obraz zatytułowany „Frankenstein junior".

My oglądaliśmy nakręcone przez Brooksa w 1976 r. „Nieme kino" — bardzo zabawną parafrazę amerykańskiej burleski filmowej z okresu kina niemego, z doskonałymi kreacjami aktorskimi Marty Feldmana, samego Mela Brooksa oraz jego żony — Ann Bancroft. „Nieme kino" było pastiszem, ale zarazem też próbą udowodnienia, że i dzisiaj, w dobie dźwięku, można zrobić film komediowy, w którym nie pada z ust aktorów ani jedno słowo.

„Nieme kino" cieszyło się u nas sporym powodzeniem i pewnie dlatego następny film Brooksa — „Lęk wysokości" nakręcony w ubiegłym roku, możemy już oto właśnie oglądać na polskich ekranach.

W czołówce filmu Brooks zamieścił zdanie, że dedykuje „Lęk wysokości" Alfredowi Hitchcockowi. I od razu dla większości widzów staje się jasne, że będą oto mieli przez następne półtorej godziny do czynienia z pastiszem filmowej twórczości nie pokonanego, jak dotąd, „mistrza suspensu".

Brooks z miejsca wprowadza nas w samo centrum hitchcockowskiej atmosfery. Zaczynając filmową opowieść od przyjazdu głównego bohatera do szpitala dla umysłowo chorych, gdzie ma on objąć stanowisko dyrektora. Od tego nawiązania do „Urzeczonej" Hitchcocka z 1945 r., będzie nas teraz wiódł Mel Brooks — wraz z dyrektorem Thorndyke, demoniczną siostrą Diesel oraz jej kochankiem — zbocznieńcem doktorem Montague — przez świat filmów Alfreda Hitchcocka. Spotkamy się z elementami „Zawrotu głowy", „Okna na podwórze", odnajdziemy znajome typy z „Nieznajomych z pociągu" czy „Złodzieja w hotelu" oraz scenę jakby żywcem wyjętą z „Ptaków", tyle że w bardzo brooksowski sposób przetworzoną.

I tak dalej i tak dalej — z humorem, dynamizmem i całkiem udatnym suspensem, z doskonałą grą aktorską samego Mela Brooksa w roli dyrektora szpitala, cierpiącego na lęk wysokości.

Kto czytał np. „Kino według Hitchcocka" François Truffauta będzie miał tym liczniejsze powody do zabawy wyławiając w „Lęku wysokości" tym więcej hitchcockowskich „smaczków", ale również widz, który w ogóle nie zna twórczości Hitchcocka (czy są tacy wśród miłośników kina?) znajdzie w filmie Brooksa dobrą porcję wakacyjnej rozrywki.

M.D.

POCZTA literacka

R. Z. LUBARTÓW. Pańskie utwory posiadają tę właściwość, że bardziej prowokują do dyskusji aniżeli oddziaływują siłą bezpośrednich argumentów. Chcę powiedzieć, że autor nie zapewnił tu sobie pierwszeństwa w rozwiązywaniu problemu, co mimo wszelkich wskazań równorzędnego dialogu z czytelnikiem powinno mieć miejsce. Nawet niektóre domyślne treści czytelnik sam musi katalizować. Odnosi się wrażenie, że wymową utworu najmniej zainteresowany jest sam autor, że jest on, a nawet chce być, zdany całkowicie na łaskę i niełaskę interpretacji. Więcej śmiałości! Nie można pisać w masce! A jeśli nawet, musi to być maska pozorna. Taka, której zerwanie dawałoby czytelnikowi satysfakcję odkrycia. W rzeczywistości to odkrycie ma być czytelnikowi dyskretnie podsunięte. Pan maskę potraktował w dosłownym znaczeniu, na skutek czego mamy do czynienia z anonimem. Nie rozjaśnia to problemu.

A. G. PŁOŃSK. Jest i moim najtajniejszym marzeniem, by rozmowy o poezji na szpaltach pism literackich utraciły swój charakter okazyjnie — odświętny, a stały się chlebem powszednim życia literackiego. Kiedyś tak bywało. Publikował swoje felietony pt. „Poezja i niepoezja" Zbigniew Bieńkowski, jeszcze przedtem „Listy do Polikarpa" Jan Śpiewak. Teraz jedynie Jerzy Kwiatkowski mniej więcej systematycznie wypowiada się o tej dziedzinie na łamach „Twórczości". Jakże jednak wyrywkowo i niewystarczająco wobec masy problemów, które — nie rozwiązane — zalewają świadomość literacką! A zresztą, jeśli już mam być szczery: czy systematyczność jakichkolwiek publikacji krytycznych wpłynie na rozwiązanie kwestii tzw. eksperymentu i granicy jego dopuszczalności? Koegzystencji elementów tradycjonalizmu z ultranowatorstwem? Wpływu świadomości odbiorczej na kierunek poszukiwań formalnych? Utraciłem nadzieję i sam uznaję huczek po szkicu Sandauera za namiastkę, ale namiastkę, której produkt oryginalny jest dziś nie do osiągnięcia. Paradoks: na co dzień nikt nie chce dyskutować, z kolei natłok sprowokowanych dyskutantów świadczy o głodzie dyskusji. Paradoks nr 2: po okresie zbiorowego milczenia wystrzeliła rakieta z dowolnościami jednego autora, jakby ona miała być wyrazem tego, co pod pokrywką milczenia fermentowało. Ale to już należy do nobliwości naszego życia literackiego, na którego zmianę nie mają wpływu — okazuje się — największe tuzy. Jest ono jakby odpowiednikiem współczesnych warunków cywilizacyjnych, których nie mogą zmienić ustanowienia administracyjne, lecz procesy ekonomiczne i demograficzne. A nawet fluktuacja między kręgami kulturowymi. Czekajmy, może nastąpi coś na literackim rynku naftowym.

A. B. GDAŃSK. Przepraszam bardzo, będę drastycznie szczery. Kiedy czytam pańskie wiersze, przypomina mi się przytoczone przez Irzykowskiego powiedzenie: nóż bez ostrza pozbawiony trzonka. Nóż niby jest, sie na którąkolwiek jego część spojrzeć, tej właśnie nie ma. Tak w tych wierszach. Nie dā się obronić ich metaforyczności, więc życzliwość czytającego zwraca się ku kompozycji. Kiedy ta nie wychodzi obronną ręką, chcemy uratować fakturę słowa, jego rzetelność. Po kolei wszystko staje się wątpliwe, choć ogólne wrażenie jest takie, że mamy do czynienia z kawałkiem autentycznego poetyckiego doznania. To wrażenie nie jest mylne i warto je wesprzeć. Myślę, że z czasem dialog z sobą doprowadzi Pan do tych konstatacji, które praktycznie okażą się przydatne rozwojowi pańskiego pisarstwa.

T. E. BIAŁYSTOK. Oczywiście, że mówię o tekstach, w których dopatruję się jakiegoś „ale". Gdybym się nie dopatrywał, nie miałbym powodu o nich mówić. Być przedmiotem nawet sporu to dla autora przecież nie degradacja. Jest taka anegdota, kto wie, czy nawet nie autentyczna, choć w odniesieniu do wybitnych osobistości to wątpliwe: ileż im scenek i powiedzonek naprzyszywano! Otóż Kadenowi — Bandrowskiemu skarżył się kiedyś młody autor, że go w recenzji zjechano. Kaden spytał o rozmiar recenzji. Bo jeśli długa — zapewnił — nie ma powodu do zmartwienia bez względu na jej treść, choćby nawet była miażdżąca. Tak samo w naszej sprawie. Utwór, który wywołał spór, już jest godzien tego, by został napisany. A druk? Ile tekstów na druk zasługujących trafia do koszy, lub w najlepszym razie odłoguje w tekach redakcyjnych. Ile tekstów powodujących wzruszenie ramion trafia na szpalty. Możliwe, że nakreśliłem obraz zbyt demobilizujący, więc śpieszę dodać: prawdziwa wartość zawsze w końcu przebije się przez obojętność. Nawet przez redakcje.

S. W. Radom, G. S. Lublin, Z. W. Włodawa, R. C. Chełm — nie skorzystamy.

KRZYŻÓWKA (nr 17)

Poziomo: 2. pisarz i dramaturg polski, autor wspomnień „Długie życie", 9. orator, 10. roślina zbożowa tropiku, 11. część do składania, element, 12. wybitna polska skrzypaczka, 14. rocznik, 16. wieś Reymontowskich „Chłopów", 17. twórca pomnika Mickiewicza w Warszawie, 19. gorące przyjęcie, 22. scenograf i reżyser, laureat tegorocznej Nagrody Państwowej I stopnia, 24. defilada, 27. piękne miasto we Włoszech, 29. pisarz polski, autor „Starego i nowego", 31. popularni piosenkarze lub posążki bóstw, 32. polski herb szlachecki, wyjątek ortograficzny, 34. uprawniony do wybierania, 37. słynna tancerka radziecka, 38. punkt prostopadle w górze, 39. telewizyjny teatr kryminałów, 40. prozaik i dramaturg współczesny, laureat tegorocznej Nagrody Państwowej.

Pionowo: 1. reżyser i scenarzysta, laureat tegorocznej Nagrody Państwowej, 2. zmieniająca barwę jaszczurka, 3. jugosłowiański samochód, 4. mięsożerna jaszczurka Australii i Azji, 5. by nie jechać na oklep, 6. piękny starogrecki młodzieniec, 7. rozsądek, logiczność, 8. człowiek trwale okaleczony, 13. pachnąca przyprawa, 15. imię autorki kryminałów, 18. dawna parowozownia, 20. zawsze modny taniec, 21. więcej niż sceptyk, 22. szeregowiec piechoty w latach międzywojennych, 23. opera Żeleńskiego, 25. popularny żeński zespół estradowy, 26. stan w USA, 28. pisarz rzymski, autor „Żołnierza samochwała", 30. dawna miara objętości, 33. zimowy pojazd, 35. arabski władca, 36. popiersie.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 15

Poziomo: księgarnia, relief, Boguszewska, status, Alicja, skarb, Kujawy, Lec, Kromer, Aron, złom, reszta, ale, rabata, Adyga, Ussuri, kwarta, Kapuściński, Pelper, praktykant.

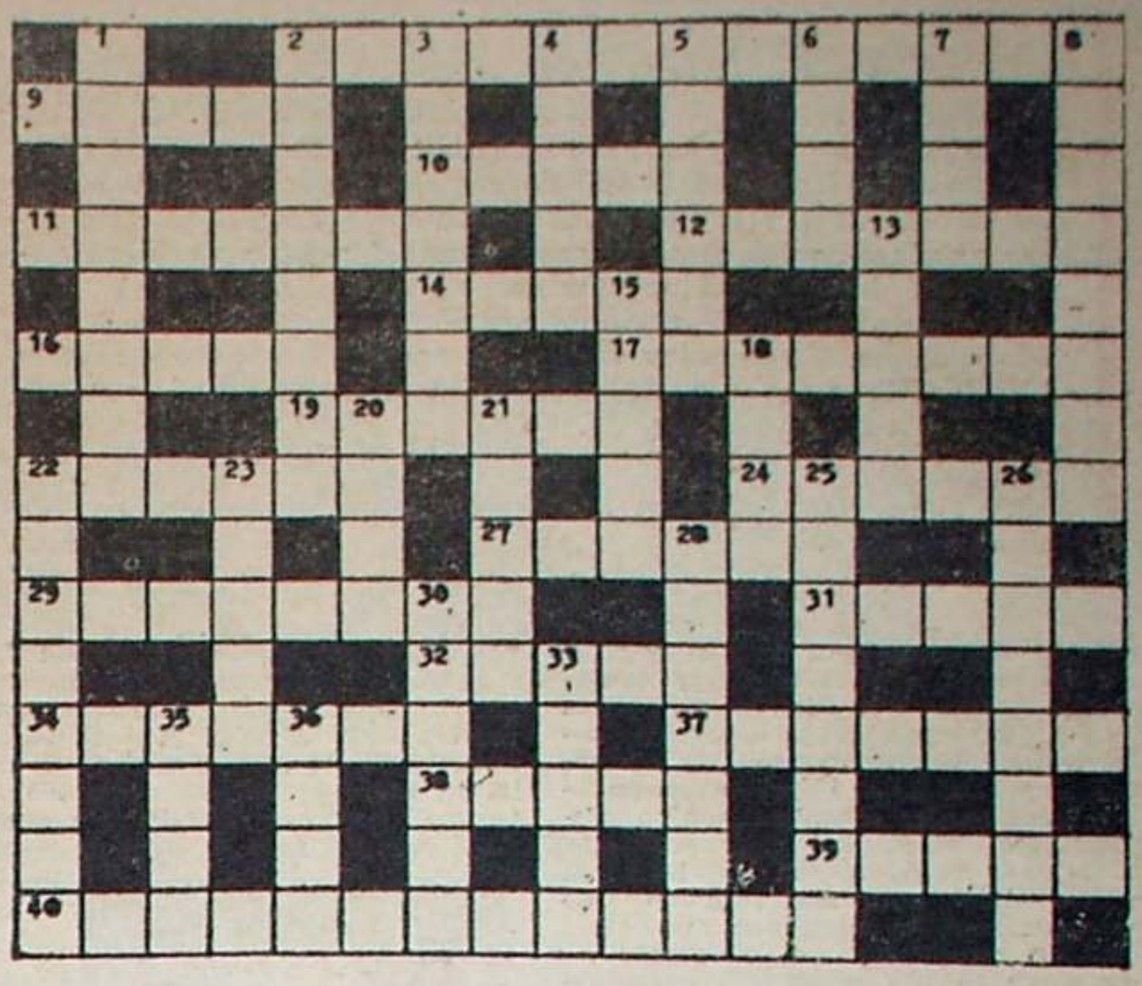

Pionowo: Prus, alfa, Peru, Skomielna, Gustaw, Nowak, Barbórka, tabu, tona, satyra, surma, armia, Kornacki, Jaśsy, watra, kornik, Czeluskin, Bona, tort, Kulisy, Grusa, wiek, ropa, Akra.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 15 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Teresa Bielecka 21-511 Kraków, Jakowiecka 3/4, Włodzimierz Kaletnik 21-300 Radzyń Podlaski, Warszawska 64, Marian Sadowski 20-313 Lublin, Łęczyńska 58/21, Paweł Zawisza 22-200 Włodawa, Aleja Wyzwolenia 46.

Listy do kameny

HOSTEL W LUBLINIE

W Warszawie, Krakowie i bodaj w jeszcze jednym mieście działają instytucje zajmujące się leczeniem schorzeń psychosomatycznych, nerwicowych nie w zakładach zamkniętych, lecz w środowisku zamieszkania pacjenta, co podobno daje bardzo dobre rezultaty. Wydaje mi się, że wykorzystując doświadczenia lekarzy osiedlowych, o których pisała swego czasu prasa, można by takie hostele uruchomić w Lublinie. Nie wymaga to większych kosztów i bazy, wystarczy większe mieszkanie w osiedlu spółdzielczym, no i inteligentny lekarz, który potrafi zachęcić pacjentów do samodzielnego programowania i wykonywania różnych czynności organizacyjno - gospodarczych, które wchodzą też w zakres zabiegów terapeutycznych. (...)

Ignacy Tokarczyk
Lublin

KONSERWOWAĆ ŚW. KRZYSZTOFA

Będąc niedawno w Kazimierzu spostrzegłam, że z attyki kamienicy „Pod św. Krzysztofem", w Rynku, odpada miejscami tynk, aż do żywej cegły. Coś podobnego zauważyłam w attyce kamienicy nr 17 przy ul. Senatorskiej, niedaleko pięknie odnowionej kamienicy Celejowskiej, w której mieści się muzeum. Przypuszczalnie o tych ubytkach wiedzą władze konserwatorskie, niemniej poczuwam się do obowiązku poinformowania o tym, co wyżej.

Jeszcze jedna rzecz warta jest uwagi w Kazimierzu: liczne zakazy postoju, dosłownie rozsiane hojną dłonią w uliczkach prowadzących do Rynku, ale całkowicie ignorowane przez kierowców, którzy parkują samochody dosłownie pod tymi znakami. To trochę demoralizujące, nieprawda?!

Dorota Kłosowska
Warszawa

SWOBODNA „TWÓRCZOŚĆ"

Mieszkam w osiedlu im. Sienkiewicza na LSM i często chodzę na spacery do sąsiedniego osiedla im. Konopnickiej, którego niektóre budynki posiadają w prześwitach ciekawe malowidła ścienne. O ile się nie mylę, znajdują się na nich cytaty z dzieł patronki tego osiedla, która wiele swoich książek poświęciła dzieciom. Niestety, dzieci mało się liczą z tym faktem i smarują kredą po malowidłach, a nawet wydłubują w nich otwory. Jak tak dalej pójdzie, to za rok — dwa w prześwitach będą brudne, zamazane ściany. Chciałoby się w tym miejscu zaapelować do rodziców o większą kontrolę nad postępowaniem ich własnych dzieci, ale czy to ma sens, skoro matki i ojcowie zdają się świata nie widzieć poza swoimi pociechami?!

Tadeusz Olejnicki
Lublin

PRZENIEŚĆ NA STARE MIASTO

Dopiero teraz wpadł mi w ręce numer „Kameny" z polemiką wokół widoczności i dostępu do pomnika Jana Kochanowskiego, który stoi na skwerze w pobliżu Muzeum Czechowicza. Nie wdając się w szczegóły, które poruszali: dr Stefan Wojciechowski i dyr. Józef Zięba, ośmielam się zaproponować przeniesienie pomnika na jego pierwotne miejsce, tzn. przed Trybunał na Starym Mieście. Dzieło Franciszka Strynkiewicza w obecnej sytuacji jest faktycznie mało widoczne dla przechodniów, bo zasłaniają go nie tylko gałęzie drzew, ale i stelaże, na których Muzeum Czechowicza eksponuje przez wiele tygodni malarstwo dzieci. Za ulokowaniem pomnika na Rynku staromiejskim przemawia też fakt, iż obszar ten w niedalekiej przyszłości będzie skupiał różnorodne instytucje kulturalne i artystyczne Lublina. Na kamieniczkach Starego Miasta są dzieła malarskie Cybisa i wielu innych malarzy współczesnych, niechże znajdzie się tam i realizacja rzeźbiarska. Taki zestaw może utworzyć coś w rodzaju trwałej, żywej galerii na wolnym powietrzu.

Kazimierz Włoch
Lublin

SKĄD BRAĆ KSIĄŻKI?

Studiuję zaocznie na UMCS i w związku z tym w lipcu przebywam prawie trzy tygodnie w Lublinie na kolejnej sesji. Jak i inni słuchacze, mam w tym okresie wiele pracy, bo zajęcia trwają po 8—10 godzin dziennie, co tak męczy, że zasypiamy na wykładach. Najgorzej jednak, że właśnie w lipcu zamyka się czytelnię humanistyczną Biblioteki Głównej UMCS, co szalenie utrudnia nam wykonywanie prac zadanych przez wykładowców i asystentów. Panie, które funkcjonują w innej czytelni i zobowiązane są do dostarczania nam książek także z czytelni humanistycznej, z reguły nie mają na to ochoty. Nie wspomnę już o tym, że w domu akademickim, gdzie jesteśmy zakwaterowani podczas sesji, nie ma ciepłej wody w kranach — bo akurat w tym czasie odbywają się przeglądy konserwatorskie w ciepłowni. (...).

A. J.
(nazwisko i adres znane redakcji)

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) Bronisław Kowalski, Maciej Podgórski, Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach:
— do 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do 10 marca na II kwartał roku bieżącego,
— do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze,
— do 10 września na IV kwartał.

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych oddziałach RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH" w miejscowościach zaś w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych.

Czytelnicy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa nr 28 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4.

Numer łamali: Mieczysław Pusjek i Grażyna Sztejke, drukował zespół pod kier. Wacława Kopcia

Nr indeksu 36351

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93, z-ca red. nacz. 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

czas. 2552/1979/17

Autor tej relacji, Witold Wawrzonek, publikował już na łamach „Kameny" artykuł i list na temat UFO, uczestniczył również w telewizyjnej dyskusji dotyczącej niezidentyfikowanych obiektów latających. Ponieważ należy do grona osób niezmiernie zainteresowanych tymi problemami i współpracuje z naukowcami badającymi tajemnicze zjawiska, drukujemy jego tekst, by przedstawić rzetelną prawdę o rzekomych UFO nad Piotrkowem. Zwolennicy sensacji przeczytają zapewne relację Witolda Wawrzonka z większym zainteresowaniem niż prezentowaną tu zwykle satyrę. (?).

UFO nad Piotrkowem?

Witold Wawrzonek

W DNIU 20 lipca br. między godz. 21.15 a 21.45 niektórzy mieszkańcy wsi Piotrków (gmina Jabłonna, woj. lubelskie) obserwowali w powietrzu obiekty nieznanego pochodzenia i przeznaczenia, emitujące bardzo silne, jednostajne, niepulsujące światło koloru czerwonego. Charakter ruchu owych świetlistych przedmiotów uprawniał podobno do przypuszczeń, iż mogą one mieć swój własny napęd oraz — pośrednio — że mogą to być przedmioty sztucznie sporządzone i rozumnie sterowane. Tego rodzaju podejrzenia „pozwalają" już dopatrywać się w takich, czy tym podobnych zjawiskach — wizyt UFO, czyli sztucznie sporządzonych przedmiotów nie będących z całą pewnością wytworami ludzkiej techniki.

Znamienne jest jednak, że ponad 90 proc. doniesień, raportów, czy relacji o pojawianiu się UFO wynika z błędnej interpretacji obiektów naturalnych (planety, meteory, pioruny kuliste), lub też sporządzonych przez człowieka (samoloty, rakiety, złom kosmiczny itp.). Jedynie ułamek procenta tego rodzaju relacji informuje o realnie istniejących, sztucznie sporządzonych obiektach latających, nie będących z całą pewnością produktami ludzkiej techniki, obiektami naturalnymi, czy też jakimiś nie znanymi jeszcze nauce zjawiskami przyrody. Stąd konieczność niezwykle starannego i skrupulatnego badania wszelkich informacji sugerujących pojawienie się UFO, gdyż pod maską nawet banalnych zjawisk może kryć się autentyczna ingerencja obcej techniki i inteligencji. Pozyskane przeze mnie informacje, dotyczące zjawisk świetlnych obserwowanych nad Piotrkowem, nie uprawniają, jak sądzę, do jakichkolwiek podejrzeń, które mogłyby wskazywać, że tam tego rodzaju ingerencja zaistniała, a wprost przeciwnie — zjawiska te dadzą się wyjaśnić w oparciu o ogólnie znane i uznawane prawa fizyki.

Jak zgodnie twierdzą bezpośredni obserwatorzy tajemniczych zjawisk świetlnych nad Piotrkowem (których relacje mam zanotowane na taśmie dźwiękowej), świetliste obiekty z a w s z e startowały jak gdyby z okolic posesji należącej do W. M.

W. M. tego właśnie dnia miał gości, którzy — jak twierdzi — wieczorem zabawiali się puszczaniem fajerwerków.

— O której mogło to być godzinie? — pytam gospodarza.

W. M. nie wie dokładnie, nie patrzył na zegar, ale na pewno już po tym, jak położył się spać w stodole — a położył się, gdy dobrze się ściemniło.

Co to były za przedmioty, które W. M. widział u swych gości — czy mógłby opisać ich wygląd, sposób używania i przeznaczenie?

W. M. może i mógłby — ale pojawia się jego żona, która natychmiast nakazuje iść mężowi do obory, a od kobiety nie można się nic dowiedzieć, nawet tego, kogo wówczas gościła.

Z informacji pochodzących od innych mieszkańców Piotrkowa wynika jednoznacznie, że wieczorem, 20 lipca, widziano nad Piotrkowem d w a obiekty. „Niezidentyfikowany" obiekt latający nr 1 pojawił się około godziny 21.15 w okolicy zabudowań W. M. Był on obserwowany przez co najmniej dwie dorosłe, zrównoważone psychicznie osoby, nie będące wówczas pod wpływem jakichkolwiek środków odurzających, czy halucynogennych. Osoba, która relacjonowała mi zdarzenie związane z pojawieniem się tego obiektu, to młoda, około trzydziestolenia kobieta, posiadająca dobry wzrok i słuch, dobrze oceniająca wielkości, szybkości liniowe i kątowe oraz barwy odległych przedmiotów — a co najważniejsze — nie mająca jakichkolwiek obaw, że coś jej się może stać w związku z pojawieniem się obserwowanego przez nią przedmiotu. Pani G. M. nie interesuje się latającymi spodkami, już z tego można wnosić, iż jej stosunek do „UFO" będzie praktycznie „bezwpływowy", pozbawiony jakichkolwiek emocji związanych z obserwowanym przedmiotem. A więc pani G. M. dostrzegła obiekt „gdzieś nad tymi topolami", które są odległe około 160 metrów od miejsca, skąd kobieta prowadziła obserwację.

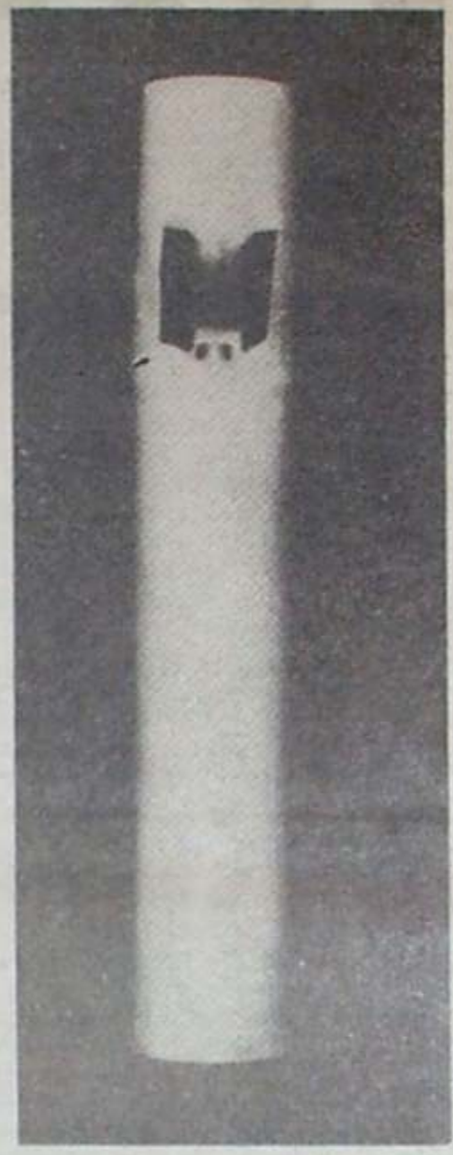

Fot. Alojzy Drozd

Obiekt wydzielał bardzo intensywne, niepulsujące czerwone światło, przez cały czas obserwacji znajdując się około 180—230 metrów nad ziemią. Poruszał się ruchem jednostajnie przyspieszonym, nigdy nie zmieniając prędkości i nie wykonując jakichkolwiek ewolucji w locie. Jego lot był z g o d n y z kierunkiem wiejącego wówczas wiatru — dym z komina przemieszczał się w kierunku na południowy wschód, tak jak i dziwny obiekt. Szybkość poruszania się obiektu: około 55—65 kilometrów na godzinę. Świetlisty przedmiot przebył trasę liczącą około 500—650 metrów, w czasie wynoszącym około 22—30 sekund. Przedmiot ów przypominał z wyglądu mały spadochron, do którego było podwieszone „coś niedużego", coś, co emitowało właśnie ową intensywną czerwoną poświatę. To „coś" wydzielało ponadto wyraźnie widoczny białawy d y m. Po około trzydziestu sekundach obiekt nieoczekiwanie „z g a s ł" — zaś w miejscu, gdzie się znajdował, dostrzeżono jakieś małe, czerwone (czy też rozżarzone do czerwoności) ciało, które zaczęło opadać pionowo — w kierunku ziemi.

Potem, już na polach w pobliżu Piotrkowa, pani Z. C. odnalazła wystrzeloną rakietę, tę samą, którą przedstawia fotografia. Taki właśnie był koniec pierwszego obiektu „nieznanego pochodzenia i przeznaczenia", który pojawił się nad Piotrkowem.

„UFO nr 2" natomiast pojawił się nieco później: kilka minut, lub nawet kilkadziesiąt sekund po tamtym — dokładnego czasu nie udało mi się, niestety, ustalić. Ten drugi, nim przestał istnieć, to narozrabiał, i to — jak czytam w „Sztandarze Ludu" z 28—29 lipca br. — nieźle narozrabiał! Przestraszył on bowiem najpierw mocno panią F. G., po czym zawiesiwszy się prawdopodobnie na jakiejś kruchej gałązce, przyprawił o palpitację serca państwa C. — świecił bowiem z odległości około 55 metrów nad ich domem dotąd, dokąd nie wypaliła się całkowicie zawarta w nim substancja. Potem „zgasł", a w miejscu, gdzie widniał, pojawiło się znane już nam z fotografii ciało, które niebawem znikło z pola obserwacji za gęstą koroną drzewa.

Co to za „ciało" — wiadomo, nie udało mi się natomiast zdobyć „dusz" niezidentyfikowanych obiektów — małych spadochroników, na których tego rodzaju rakiety mogą zawisać przez dłuższy czas w powietrzu i dokładnie oświetlać znajdujący się pod nimi obszar. Trudno też byłoby odtworzyć „losy jego życia". Obserwowano go zawsze bowiem przez pryzmat bardzo silnych emocji. Jednakże niedługo po tym gdy zniknął pierwszy „spodek", pani G. M. stała jeszcze na dworze i wtedy usłyszała „coś, jakby cichy strzał" — a następnie dźwięk „jakby ktoś z opony powietrze spuszczał".

Zaraz potem pani G. M. ujrzała w miejscu, skąd wyleciał pierwszy „spodek", czerwonokrwistą łunę, która „pobyła trochę i znikła". Nie ma wątpliwości, że ową łunę spowodował „ten drugi ufolot" — ten sam, który tak wystraszył panią F. G. i przeraził państwo C., u których uciekająca kobieta szukała schronienia.

Czy owe tajemnicze dźwięki, o których informowała kobieta, obserwująca przelot pierwszego „ufolota", były efektami akustycznymi powstałymi przy wystrzeliwaniu drugiego — trudno oczywiście udowodnić, ale podkreślić należy, iż podobne hałasy słyszy się przy odstrzeliwaniu rakiet z rakietnic.

W oparciu o relacje bezpośrednich świadków, którzy mieli bliskie raczej spotkanie z drugą rakietą, incydent wygląda mniej więcej tak. Po osiągnięciu górnego martwego punktu rakieta zaczęła opadać początkowo dość szybko w dół — jej spadochron bowiem nie zdążył się jeszcze rozwinąć. W momencie, gdy pani F. G. była około 50 metrów od zabudowań, w których się schroniła, spadochronik rakiety zaczął się prawdopodobnie rozwijać i obiekt, opadając, gwałtownie hamował, co mogło dać taki efekt dźwiękowy, jaki opisywała F. G. W tym samym czasie, substancja świecąca zaczęła się palić — świetlisty obiekt był pchany przez wiatr, opadając jednocześnie powoli w dół, posuwał się tam, dokąd zmierzała pani F. G. — co mogło sugerować, że tajemniczy, emanujący intensywne czerwone światło przedmiot „goni" kobietę. Raca znajdowała się z tyłu, za plecami przerażonej kobiety, biegnąc bowiem widziała ona swój własny cień przed sobą.

Warto tutaj nadmienić, że tego rodzaju rakieta, „stojąca nocą nad człowiekiem niemal w zenicie", może rzeczywiście przypominać niewielki spodek, z tryskającym ku ziemi strumieniem ognia pochodzącym od spalania się substancji świecącej, co oczywiście może zwodniczo i perfidnie „podsuwać" odpowiednie skojarzenia. Czasza spadochronika racy była bowiem podświetlana bardzo intensywnym światłem od spodu; zresztą łatwo mogą zasugerować odpowiednie skojarzenia (pani F. G. interesuje się latającymi talerzami) oraz wyobraźnia. Jeśli do tego dodać, że tak wyglądający obiekt poruszał się po ciemnym niebie oraz że obserwowane zjawisko, które pojawiło się nagle i nieoczekiwanie, wywołało u kobiety lekki szok, co uniemożliwiło jej dokładną obserwację — to oczywiście trudno się dziwić, że owa sytuacja tak właśnie została przez nią zinterpretowana, zaś niezidentyfikowany przedmiot został „zidentyfikowany" jako UFO. Przerażona kobieta uciekła do zabudowań J. C. i przypuszczalnie w tym samym czasie i „ufolot" zakończył marnie swój piracki rajd, powiesiwszy się na jakiejś gałęzi (być może nawet na suchej, bo w jej sąsiedztwie go potem obserwowano), lecz nadal świecił nie mniej intensywnym, aniżeli poprzednio światłem. Od państwa C. wybiegli wszyscy i zobaczyli „ufolota" wiszącego między dwoma blisko siebie rosnącymi chojakami. Kiwał się tam słabosilnie, wydzielając jednak nadal jaskrawe czerwone światło — po kilku sekundach zgasł i wtedy zauważono w tym miejscu małe ciało, które znikło zaraz między gałęziami.

Pytam panią S. S., która widziała obiekt wiszący między drzewami, ile czasu mogła go obserwować?

— Kilka, najwyżej kilkanaście sekund — odpowiada — potem zgasł.

— Może pani zamknie oczy i spróbuje sobie w myślach powtórzyć tę sytuację — proszę S. S.

Kobieta zgadza się, ja w tym czasie patrzę na centralny sekundnik swojego zegarka: po upływie pięciu sekund mówi: „Już zgasł".

— Czy były jakieś zakłócenia w pracującym wtedy odbiorniku telewizyjnym, a może zgasło światło, gdy on znajdował się między tymi chojakami?

— Nie, na pewno nic takiego nie było — odpowiada jednoznacznie.

Mierzę teleobiektywem odległość od budynku mieszkalnego J.C. do miejsca, gdzie obserwowano wiszący w sąsiedztwie suchej gałęzi obiekt — wynosi ona 50—55 metrów. UFO zawsze wytwarzają bardzo silne pole magnetyczne, blokujące odległości kilkunastu metrów nawet silniki samochodów. Niejednokrotnie rejestrowano również, jak w czasie przelotu UFO — nawet w odległości kilkuset metrów — milkły radioodbiorniki i gasły telewizory. W Piotrkowie nic takiego się nie działo, sprawdzałem to dokładnie i bardzo skrupulatnie.

Podobnie jak pani G. M., również i państwo C. rysują mi obiekt przypominający z kształtu rozłożony spadochron. Obydwa obserwowane nad Piotrkowem obiekty mogły mieć najwyżej 1,2 metra długości i być szerokie na 40 centymetrów. Podobnych rozmiarów UFO obserwuje się niezwykle rzadko, gdyż są to prawdopodobnie bezzałogowe sondy z zakodowanym w „wewnętrznej pamięci" programem lotu i wykonywanych zadań.

W Piotrkowie spędziłem pół dnia, dokładnie wypytując o wszystko to, co mogłoby mieć jakiś luźny nawet związek z obserwowanymi 20 lipca br. wieczorem zjawiskami świetlnymi. Niestety, nie natknąłem się na jakikolwiek szczegół, który mógłby choćby dwuznacznie sugerować, iż nad Piotrkowem obserwowano niezidentyfikowane obiekty latające. Dowiedziałem się tylko jeszcze o trzecim „ufolocie", którego lot w biały dzień obserwowało na okolicznych polach kilku mieszkańców wsi Piotrków. Został on wystrzelony z rakietnicy 21 lipca br. przez bliżej niezidentyfikowaną osobę płci męskiej, która w tych dniach, wraz z innymi gośćmi, przebywała u gospodarza W. M.

Rys. Z. Gonsiek